

◦NAUKA◦FANTAZJA◦PRZYGODA◦



W. NIEMCOW
**REKORD
WYSOKOŚCI**

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

NAUKA – FANTAZJA – PRZYGODA

W. NIEMCOW

REKORD WYSOKOŚCI

POWIEŚĆ NAUKOWO-FANTASTYCZNA

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

T Y T U Ł O R Y G I N A Ł U
R I E K O R D W Y S O T Y

Z R O S Y J S K I E G O T Ł U M A C Z Y L I
A . i B . M A L I N I A K O W I E

I L L U S T R A C J E W Y K O N A Ł
S T E F A N S T Y C Z Y Ń S K I

R e d a k t o r J . P r z y m a n o w s k i

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1951 r. Printed in Poland

Drukowano w nakładzie 10 000 egz., format B 5
na papierze druk. mat. 70 g. V kl., w drukarni
Wrocławskich Zakładów Graficznych nr 21 we
Wrocławiu. Skład rozpoczęto 18. 5. 51 r. Druk
ukończono 11. 8. 51. Objętość ark. wyd. 7¹/₄, ark.
druk. 6³/₄. Zam. nr 226/C-419 z dnia 12. 5. 51—
2-B-23291.

Wadim Bagrecow i Timofiej Babkin byli początkowo uczniami mojego laboratorium. Nawijali cewki i transformatory. Pomagali w doświadczeniach. Uczyli się. Następnie przeniesiono ich do oddziału, w którym konstruowano automatyczne stacje radiometeorologiczne, nazywane w skrócie ARMS.

Wybierając w zakładzie doświadczalnym naszego instytutu uczniów do mojego laboratorium ani przez chwilę nie myślałem, że po pewnym czasie napiszę całą książkę o ich niezwykłych przygodach. Moi bohaterowie byli bardzo skromni. Gdyby zresztą dowiedzieli się, że nazywam ich „bohaterami”, byliby prawdopodobnie bardzo zmieszani. Chłopcy ci, opowiadając o swoich przygodach, cały czas podkreślali, że nie zrobili nic nadzwyczajnego, że każdemu może się to zdarzyć i każdy na ich miejscu postąpiłby tak samo...

Wróćmy jednak do naszego opowiadania.

1. AUTOR KRÓTKO PRZEDSTAWIA SWOICH BOHATERÓW I OD RAZU ZACZYNAJĄ SIĘ ICH PRZYGODY

Deszcz kilkakrotnie zaczął padać jeszcze wieczorem, ale nie udawało mu się nawet zwilżyć kurzu na drodze. Drobniotkie krople toczyły się po suchym piasku jak ziarenka. Można je było dostrzec w świetle reflektorów zalewających promieniami światła drogę, która biegła wzdłuż ogrodzenia eksperymentalnego poligonu.

Powietrze było przesycone zapachem kurzu, świeżego siana i benzyny. W budce, wystającej nieco ponad ogrodzenie, ledwo dosłyszalnie skrzypiały deski. Stał tam wartownik.

Po czarnym południowym niebie powoli płynęły szarawe obłoki, gasząc jaskrawo płonące gwiazdy.

Na poligonie było ciemno. Tylko w gmachu instytutu jaśniało otwarte okno, zapewne w pokoju dyżurnego, i w krzakach obok podziemnego składu przebłyskiwało słabe światełko. Przed świecą skalą maleńkiego odbiornika zastygły dwie postacie. Byli to młodzi technicy — Bagrecow i Babkin.

— Słuchaj, Dim, ile minut jeszcze zostało? — zapytał Babkin.

Wadim otarł chusteczką mokre od kropel deszczu brwi i spojrzał na zegarek.

— Sześć.

Westchnął i nadstawił ucha. Skądś z daleka dobiegł dźwięk dzwonka telefonu.

— Tim! — zawołał Babkina Bagrecow po krótkim milczeniu.

— Czego chcesz? — odezwał się Tim z niezadowoleniem.

— A jeżeli?...

--- Dlaczego mnie straszysz?

Babkin odwrócił się ze złością i nałożył słuchawki, jak gdyby podkreślając, że na tym rozmowa została zakończona.

Wadim podniósł się, zaczepiając się nieostrożnie o krzak obwieszony kroplami deszczu, które jak mokre mrówki wpełzły mu za kołnierz.

Niedaleko ciemniał gmach z dachem w kształcie kopuły. W wątych promieniach światła, padającego z pokoju dyżurnego, od czasu do czasu rysował się cień wartownika strzegącego wejścia do gmachu.

Babkin postawił odbiornik na trawie i wstał również. Był znacznie niższy od swojego towarzysza. Barczysty, krępy, silny, lekko kołysząc się na nogach Babkin przeszedł się po wilgotnej

trawie, popatrzył na mokre nosy swoich nowych bucików, które błyszcząły jak lakierowane, umyślnie ziewnął i zapytał:

— A teraz, ile zostało?

— Cztery minuty... A jeżeli nie wyjdzie?...

— To pojedziemy do domu — zakończył twardo Tim. — I na tym koniec. To nie nasza wina, że maszyna popsuka się i nas przywieziono tutaj dopiero z nastaniem nocy. Czy można coś sprawdzić, jak należy, w ciągu dwóch godzin?

— A czy wiesz, dokąd oni wysyłają tę stację?

— To nie powinno nas wcale interesować. Przyrząd dostarczyliśmy, sprawdziliśmy, a teraz niech go ciągną nawet na Pamir. Ostatecznie — cóż to nas obchodzi?...

Wadim spojrział na towarzysza ze zdziwieniem. W żaden sposób nie można było uwierzyć temu, co on mówił. Wszyscy, nawet ci, którzy niezbyt dobrze znali technika Babkina z laboratorium ARMS, zdumiewali się jego żądzą wiedzy. Inżynierowie chętnie pokazywali i objaśniali wszystko zdolnemu młodzieńcowi, a czasem nawet powierzali mu pewne roboty montażowe.

Bagrecow nikomu nie dokuczał pytaniami. Po pracy często można go było spotkać w ogródku instytutu z jakimiś zeszytami w rękach. Mówiono, że pisze dziennik, jednak nikt nie mógł na ten temat nic pewnego powiedzieć. Dim wraz z Timofiejem doskonale zmontowali nowy przerywacz elektronowy do automatycznej stacji meteorologicznej. Dziennik mu w tym wcale nie przeszkodził.

Właściwie przyczyną ich przyjazdu do nieznanego im instytutu badawczego był ten właśnie przyrząd — oryginalny przerywacz elektronowy. Technikom powierzono zmontowanie przyrządu na jednej z automatycznych stacji, która za dwie godziny zostanie wysłana celem długotrwałego jej wykorzystania w jakichś „specyficznych warunkach“. Prawdą jest, że — ku

rozgoryczeniu przyjaciół — przerywacz ich włączono tylko do systemu przekazującego sygnały wilgotności, ale dobre i to. Oznacza to bowiem, że w instytucie ceni się przyrząd wykonany rękami młodych techników. A to jest przecież ich pierwsza samodzielna praca. Od staranności montażu tego przyrządu zależy przekazywanie sygnałów wilgotności. Czyż więc można dopuścić do tego, aby z powodu złej i niedbałej pracy techników laboratorium nr 9, Bagrecowa i Babkina, zostały udaremnione ważne badania?... Strach nawet pomyśleć o tym!

Właśnie nad tym zastanawiali się nasi przyjaciele. Stali milcząc pod deszczowym niebem i z trwogą patrzyli na słabo oświetlone wejście, przed którym w bezruchu zastygł wartownik. Pilnował pomieszczenia, w którym znajdowała się automatyczna stacja radiometeorologiczna, a w niej przerywacz elektronowy. Dopiero co ustawiono go i sprawdzono. Przerywacz pracował normalnie. Inżynierowie, którzy przygotowywali aparaturę do wysłania, byli zadowoleni i odeszli, by odpocząć.

Jednak — pomimo uciążliwej drogi i bezsennej, pełnej zdernerwowania i trwogi nocy — ani Wadim Bagrecow, ani Timofiej Babkin nie mogli opuścić poligonu. Nie wierzyli w niezawodność ich konstrukcji i postanowili raz jeszcze sprawdzić ją; dodatkowa kontrola nigdy nie zaszkodzi. Kto wie, co jeszcze może się zdarzyć?...

I tak stali, z zapartym tchem oczekując chwili, gdy w słuchawce odbiornika usłyszą znajome sygnały.

— Kto to? — zapytał Dim wskazując na przesuwaną się przez poligon cień samotnej postaci.

Babkin przymrużył oczy. Zdaje się, że to nieznajomy, którego widział godzinę temu przed wejściem do pomieszczenia, w którym była stacja meteorologiczna.

Jeszcze wówczas Timofiej doznał uczucia, że w przygotowywanych badaniach bardzo wiele zależy od tego człowieka.

Timofiej nie wiedział, kim on jest, lecz widząc, jak odnoszą się do niego młodzi inżynierowie — domyślał się, że człowiek ten cieszy się tutaj głębokim poważaniem.

— Kto to? — Dim powtórzył swoje pytanie.

Babkin wzruszył ramionami. Skąd on może wiedzieć?...

Wadim podniósł kołnierz i spojrzał na ciemne niebo. W tym momencie cienki promyk dalekiej gwiazdy prześliznął się przez rozerwaną chmurę. Kto wie, może właśnie w tym momencie po raz pierwszy dobiegł do ziemi promień, jako zwiastun narodzin nowego świata w nieskończonej głębi kosmosu?

„Kto odgadnie tajemnicę powstawania i zagłady światów? — myślał marzyciel Bagrecow wpatrując się w niebo. — Kto pierwszy opowie o tym ludzkości? Może badania promieni kosmicznych zdradzą nam tę największą zagadkę wszechświata”.

Wadim westchnął i znowu pochylił się nad odbiornikiem.

Po świecącej się skali pełzały leniwe smużki deszczu, poprzez które trudno było rozróżnić cyfry.

Minęły uciążliwe minuty. Radiostacja włączyła się automatycznie i w słuchawce odbiornika zapiszczały sygnały.

Były tak głośne, że Tim usłyszał je w pewnej odległości od odbiornika. Wadim, przysłuchując się im, mówił: „Tak... Doskonale. To sygnał temperatury... Osiemnaście stopni. Kierunek wiatru. Wiatru w pomieszczeniu nie ma... Ale to nie ma znaczenia. Ciśnienie... Teraz — wilgotność!...”.

Dały się słyszeć cienkie, dźwięczne sygnały. Jak gdyby ktoś uderzał łyżką w szklankę.

Przerywacz pracował doskonale i precyzyjnie. Wszystkie wątpliwości zostały rozstrzygnięte. Przecież przyrząd ten wykonywano w laboratorium nr 9.

— Uspokoiłeś się? — drwiąco zapytał Tim i ziewając dorzucił: — Chodźmy, czas spać.

Dim wysłuchał do końca transmisji sygnałów i przekreślił wyłącznik. Skala zgasła.

— Poczekaj! — zatrzymał go Babkin widząc, że Bagrecow zamknął wieko odbiornika i kieruje się do wyjścia. — Pozwól nabrać tchu. Dziękuję za pantofle. A toś mi wyrządził przysługę!

Usiadł na trawie i zaczął rozwiązywać sznurowadła. Rozplątując je Tim myślał: „Jak to się stało, że taki poważny i rozsądny technik jak on — Timofiej Babkin, tak łatwo dał się namówić lekkomyślnemu przyjacielowi, za co — i słusznie! — ponosi teraz należytą karę?...”.

Tim, nie biorąc przykładu ze swojego przyjaciela, zwykł ubierać się bardzo prosto: spodnie i bluza wojskowego kroju... Dim namawiał go, by kupił cywilne ubranie. „Nie wypada — mówił — żebyś jechał w podróż służbową w takim stroju. Jesteś przecież przedstawicielem Centralnego Instytutu i w wysokich butach...”. Trzeba było szybko kupić nowe buciki. Wybierał je dla niego Dim — jest on specjalistą od tych spraw.

Buciki, które mu się spodobały, były cytrynowożółtego koloru (to nieważne — ściemnieją), ale diabelnie uwierały. Ostry, dojmujący ból stopniowo przesunął się ku górze. Już nawet stawy kolanowe bolały. Nie można było o niczym więcej myśleć, jak tylko o tym, by jak najprędzej zrzucić z siebie te narzędzia tortur!...

— Długo jeszcze? — niecierpliwie krzyknął Wadim. Babkin nie odpowiedział: pocierając palcem bolące miejsca rozkoszował się słodkim uczuciem zamierającego bólu.

Bagrecow obejrzał się i zauważywszy koło składu ławkę, wytarł ją chusteczką i usiadł starając się nie zabrudzić ubrania.

Znowu otworzył walizeczkę i włączył odbiornik. Na różne tony piszczały stacje telefoniczne. Słysząc było rozmowę prowadzoną w obcym języku, muzykę... Bagrecow mimo woli przesunął wskazówkę skali na czterdziestą czwartą podziałkę. W żaden sposób nie mógł stłumić w sobie pragnienia, by znowu usłyszeć wyrazisty, szklany dźwięk przerywacza.

Oczywiście, po sygnałach ciśnienia barometrycznego powinien się włączyć ich przerywacz. Jego dźwięk jest miłszy od wszelkich melodii. Lecz co to? Jakieś trzaski. Stacja meteorologiczna nadaje sygnały wilgotności.

Wszystko się poplątało. A najważniejsze — że winę za ten zamęt ponosi przerywacz!

— Timka! — głucho krzyknął Bagrecow. W żadnym wypadku nie spodziewał się podobnego niepowodzenia.

Babkin poczuł, że zaszło coś nieprzyjemnego. Szybko naciągnął jeden bucik i usiłował włożyć drugi, ale bez skutku.

Kulejąc i podskakując na jednej nodze, Tim podbiegł do przyjaciela.

— Słuchaj — rzekł Wadim podając mu słuchawkę.

Timofiej, nachmurzony, wysłuchał do końca nadawanych sygnałów.

— Dziękuję za odkrycie! — zauważył z pozornym spokojem.

— Dziękuję! — tym samym tonem odpowiedział Bagrecow, ale nie wytrzymał i zaczął ze wzburzeniem: — Trzeba natychmiast powiedzieć dyżurnemu. Ja pójdę... Odroczę wysyłkę...

— Nic z tego. Stację meteorologiczną załadują we właściwym czasie, a nasz przerywacz wyrzucą do diabła i wstawią poprzedni. Na pewno nie będą się z nami bawić.

Tim wstał, z niezadowoleniem dotknął przemokniętych na kolanach spodni i popatrzył w stronę wartownika. Ten, narzu-

ciwszy na głowę kapiszon gumowego płaszcza, chodził koło latarni.

Do bramy poligonu podjechały ciężarowe auta. Promienie światła, padające z ich reflektorów, poprzecinały cienkie, błyszczące nitki deszczu.

— Teraz już po wszystkim... — zgaszonym głosem powiedział Dim. — Teraz odeślą stację meteorologiczną... A my...

Timofiej wyłączył odbiornik, zatrzasnął walizeczkę i dobitnym szeptem powiedział:

— Gdybym się dowiedział, że mój przyjaciel Bagrecow, któremu powierzono takie zadanie, nie uczynił wszystkiego, co tylko możliwe, żeby je wykonać — ja bym tego przyjaciela... tak zwymyślał na zebraniu Komsomołu, że nie śmiałyby potem cały rok spojrzeć w oczy uczciwym ludziom. Na pewno... Babkin schwycił Dima za rękę i pociągnął go za sobą.

Dały się słyszeć przytłumione głosy ludzi, którzy podeszli do wartownika.

Tim starał się dostrzec wśród grupy inżynierów człowieka, który go interesował, lecz ten widocznie wszedł już do gmachu.

Nikt nie zauważył, jak nasi przyjaciele weszli do pomieszczenia, w którym znajdowała się stacja meteorologiczna. Zresztą, gdyby ich nawet spostrzeżono, to zapewne nikogo nie zdziwiłaby obecność młodych techników. Nie zdziwiłby się prawdopodobnie, spotykając młodzieńców, nawet naczelnik oddziału radiowego, inżynier Deriabin, który późnym wieczorem podpisał im delegacje służbowe.

Nasi bohaterowie namacali w ciemności cienką aluminiową drabinkę prowadzącą do wjazdu kabiny i weszli do wnętrza. Tam, za pomocą lampki oświetlającej skalę przenośnego odbiornika, odszukali szary, lakierowany sześcian przerywacza, który przysporzył im tyle kłopotu.

Z zapartym tchem, przysłuchując się głosom rozlegającym się za ściankami kabiny, Babkin śpiesznie starał się zdjąć wieczko przyrządu.

Śrubokręt ześlizgiwał się z lakierowanej powierzchni metalowej skrzynki, ręce drżały... A było się czym denerwować. Minuty zaledwie dzieliły ich od chwili, gdy po hermetycznym zamknięciu kabina załadowana zostanie na platformę i odesłana nie wiadomo dokąd...

„Żeby tylko zdążyć... Żeby tylko zdążyć!” — powtarzał sobie Tim. Zdawało mu się, że ktoś chodzi po dachu; słysząc było ostrożne, powolne kroki. Tim słuchał uważnie. Kroki ucichły. Na pewno ktoś sprawdzał zewnętrzne przyrządy.

Babkin odkręcił ostatnią śrubę, zdjął wieko i od razu usunął przyczynę złego funkcjonowania przerywacza. Jak to się stało, że przedtem nie zauważył tego kontaktu z lekka odgiętego? Sam jest winien. No, ale teraz, po naprawieniu, kontakt już nigdy nie odmówi posłuszeństwa.

Tim zaczął śpiesznie przykręcać drobne śrubki. Potem postawił przerywacz na tablicy rozdzielczej, przymocował go od spodu dwiema mocnymi śrubami i dopiero wtedy zauważył, że brak mu śrubek. Być może, nieostrożnie zawadził rękawem i strącił je na dół.

— Dimka, pomóż no prędzej! — krzyknął zsuwając się na podłogę.

Bardzo trudno było szukać w ciemności. Światło skali odbiornika skierowane było w górę, a na dole nic nie było widać. Dim i Tim pełzali po metalowej karbowanej podłodze, wodzili po niej rękami, lecz śrubek nie mogli znaleźć. Nic innego, tylko potoczyły się pod płytę, na której zmontowane są akumulatory.

Podłogę i płytę dzieliła wąska przestrzeń. Czy uda się w nią wcisnąć?

Pierwszy wsunął się tam Dim, a za nim przewidujący Babkin z walizeczką. Niestety, skala i tutaj nie oświetlała podłogi.

Tim systematycznie wodził palcami po zagłębieniach karbów, starając się namacać w nich zgubione śrubki. Nigdzie dalej nie mogły się potoczyć.

— Znalazłem! — z radością zawołał Dim namacawszy śrubę, która utkwiła w rowku.

Babkin podniósł głowę i boleśnie uderzył się o żebro wzmacniające płytę. „Jak tu ciasno. Może się zdarzyć, że nie zdołamy stąd się wydostać. A byłoby niezbyt przyjemnie, gdyby zastano nas w takiej sytuacji. Technicy Centralnego Instytutu i taka nieprzyjemność. Deriabin — to człowiek surowy — myślał Tim. — Cywil, ale wszyscy stają przed nim na baczność.“

Babkin nie wiedział, że właśnie w tej chwili „cywil” był całkiem blisko i po raz ostatni przed wysłaniem stacji meteorologicznej sprawdzał przyrządy. Nie mogło mu przecież przyjść na myśl, że pod tablicą, na której był umocowany przerywacz, brakuje trzech śrubek. Dwie godziny temu sam dokładnie sprawdzał i nawet próbował śrubokrętem, czy są dobrze dokręcone, niezbyt dowierzając „chłopcom z Moskwy”. A tym bardziej Deriabin nie mógł sobie wyobrazić, że ci chłopcy leżą teraz w wąskiej przestrzeni pod akumulatorem...

Po obejrzeniu kabiny inżynier ostrożnie zszedł na dół.

— Zamknąć włazy! — całkiem niespodziewanie usłyszał Dim głośną komendę. Schwycił Babkina za ramię. Ten zrozumiał, o co chodzi, i usiłował wyleźć spod konstrukcji, lecz było już za późno.

Wewnętrzny właz zatrzasnął się z lekkim stukiem. Zaskrzyphiały zakręcane śruby. Minutę później zadźwięczało ledwo do słyszalnie wieko zewnętrznego włazu. Nastąpiła cisza. Żaden

dźwięk nie przenikał przez grube ścianki kabiny. Wydawało się, że wypompowano z niej powietrze.

Dał się odczuć lekki wstrząs, jak w wagonie, gdy pociąg rusza. Hermetycznie zamknięta kabina stacji meteorologicznej ruszyła z miejsca.

Technicy rzucili się do włazu, tupali nogami, krzyczeli, walili pięściami w ściany... Nikt ich nie słyszał i kabina pojechała dalej.

Dokąd? W jakim kierunku? Nie wiadomo. Tak zaczęły się niezwykle przygody Wadima Bagrecowa i Timofieja Babkina.

2. NIEOCZEKIWANE ODKRYCIE TIMOFIEJA BABKINA

Kabina stacji meteorologicznej, holowana zapewne przez samochody, lekko drgnęła. Bagrecow przekonawszy się, że jej grube ścianki przekładane warstwami izolacji cieplnej nie przepuszczają dźwięków, że nie pomogą ich krzyki i hałasy, nieoczekiwanie dla siebie samego poczuł radosną

ulgę. Przede wszystkim obawiał się śmiechności. A przecież byłoby bardzo śmiesznie, gdyby, słysząc ich pukanie, inżynierowie otworzyli wąż kabiny i on z Timem wyszedłby z niej. Aż poczerwieniał na samą myśl o tym.

Wadim wyobraził sobie scenę tłumaczenia się przed Deriabinem i zmarszczył czoło. Co za głupia sytuacja! Teraz jest zadowolony, że nieprzyjemna rozmowa chwilowo ich ominęła.

Bagrecow przypomniał sobie, jak po przyjeździe na poligon najpierw zetknęli się z dyżurną radiotelegrafistką. „Ania“ — przedstawiła się wyciągając rękę do Wadima i rzekła nadąsana:

— Szkoda, że nie przyjechaliście jeszcze później. Teraz muszę się uczyć waszych nowych sygnałów. W takim pośpiechu wszystko można poplątać! No, pokazujcie!

Podczas gdy Tim rozpakowywał przyrządy, Wadim zaznajamiał Anię z sygnałami, które miała przyjmować. Sygnały te, nadawane za pomocą przerywacza przywiezionego przez techników z instytutu, różniły się nieco od zwykłych. Dziewczyna była pojętna, jednak z ironią spoglądała na podnieconego młodzieńca, który w zapale wyjaśniania wymachiwał rękami jak wiatrak.

Wadim czuł to, ale nie mógł się powstrzymać i wkrótce zapomniiał o przerywaczu i sygnałach, a począł mówić o promieniach kosmicznych i tajemnicach jądra atomowego. Mógłby mówić na ten temat bez końca, gdyby Tim, który znał słabość swojego przyjaciela, nie przerwał mu w porę.

Gdy Wadim próbował dowiedzieć się od Ani, dokąd zostanie wysłana eksperymentalna stacja meteorologiczna, dziewczyna uśmiechnęła się tylko zagadkowo.

Babkin trzeźwo oceniał sytuację. Nieprzyjemnie będzie, jeżeli o tym zdarzeniu dowiedzą się w instytucie. Będą się śmiać z nich!

Kabina stacji meteorologicznej płynęła po prostu w powietrzu, podtrzymywana rękami niosących ją ludzi. Nagle zatrzymała się. Zapewne załadują ją teraz na platformę wielotonowego samochodu ciężarowego.

W kabinie było ciemno. Panowała absolutna cisza. Ani jeden dźwięk nie przedostawał się przez jej szczelne ścianki.

Babkin pełzał dokoła włazu, starając się znaleźć wewnętrzne zasuwy. Wadim dziwił się. „Po co on szuka? Jakże tu mogą być zamki? Urządzenie jest kierowane automatycznie. Nie przewidywano, że będą w nim ludzie”.

— No cóż — pośepnie rzekł Tim starając się dodać powagi swojemu głosowi. — Nie niepokój się zbytnio. Po drodze będą sprawdzać urządzenie i wtedy wydostaniemy się.

Dim nie odpowiedział. Właściwie wcale się nie niepokoił. Był to dla niego początek niezwyklej podróży. Będzie o czym pisać w pamiętniku. Być może, właśnie o tej podróży marzył jeszcze w dzieciństwie, kiedy w czasie jazdy pociągiem każdy maleńki przystanek wydawał mu się nowo odkrytym, nikomu nie znanym miastem. W mieście tym ludzie byli inni, nieznanymi i tym samym zagadkowi. W owych czasach nikłe zarośla obok toru kolejowego wydawały mu się Ussuryjską Tajgą. Nawet krzyk derkacza wydawał się dziwny i niezrozumiały.

Nagle przyjaciele poczuli, że kabinę jak gdyby podnoszą dźwigiem dokąds w górę. Dim musiał się uchwycić tablicy z przyrządami, aby nie upaść.

— Ładują na platformę? — zapytał.

Timofiej zauważył, że jego przyjaciel jest nie na żarty wzburzony.

— No i cóż z tego? — rzekł ze specjalnie podkreśloną obojętnością. — Nie denerwuj się, daleko nie pojedziemy...

— A jeżeli? — z nieoczekiwanym, tak niestosownym w tej chwili ożywieniem wykrzyknął Wadim. — Wyobraź sobie, że tę stację meteorologiczną ustawią na jakimś szczycie... No, na przykład w górach Ałatan?

— Ty ciągle swoje — z niezadowoleniem zauważył Timofiej, pojąwszy przyczynę zachwytu amatora przygód.

Timofiej wstał i ledwie trzymając się na nogach, obutych w spiczaste buciki, podszedł do swojej walizeczki. Wyjął z niej akumulator i podłączywszy do niego zapasową żarówkę ze skali, oświetlił wnętrze kabiny.

Miała kształt cylindryczny. Na metalowych podpórkach i uchwytach, rozmieszczonych na jej ścianach, błyszcząły sześciątne przyrządów notujących stan pogody. Radiostacja mieściła się w drugim przesejku. Większa część przyrządów była zamontowana poza obrębem kabiny i tylko napisy na tablicach informowały, że tutaj dochodzą przewody automatycznego anemometru, pokazującego szybkość wiatru — barometru notującego ciśnienie, aktinometru wykazującego natężenie promieniowania słonecznego — obłokomierza, termometru, deszczomierza i wielkiej ilości innych przyrządów, których pomiary dają pełny obraz stanu pogody w miejscu ustawienia automatycznej stacji radiometeorologicznej. Sieć takich stacji meteorologicznych, silnie rozwijająca się w ostatnich latach, pozwala dokładnie przepowiadać pogodę, co ma ogromne znaczenie dla gospodarki narodowej, a w szczególności dla lotnictwa transportowego i komunikacyjnego. Babkin jednak nie znał większości przyrządów, które wydawały mu się zbyt skomplikowane dla stacji meteorologicznej.

W hermetycznie zamkniętych skrzynkach szczykały liczne przekaźniki, zapalały się zielonym światłem jakiegoś kolbki, od czasu do czasu brzęczały, jak pszczoły, silniczki.

Ściany kabiny były karbowane i wykonane zapewne z duraluminium. Uwagę Babkina zwróciły drzwi prowadzące do sąsiedniego przesejku. Może tam jest drugie wyjście? Obejrzał się za towarzyszem. Ten, wyciągnąwszy swój „pamiętnikarski zeszyt”, jak żartem nazywał Babkin dziennik towarzysza, nawet w tej niezwykłej sytuacji coś w nim zapisywał. Jakżeby inaczej — taka przygoda!

Babkin uniósł się na palcach (do diabła, jak boli), odsunął jeden rygiel na górze, drugi na dole i otworzył drzwi.

Timofiej uważał, że nigdy i niczemu nie należy się dziwić. Wobec tego jednak, co teraz ujrzał za drzwiami, nie mógł pozostać obojętnym.

W nikłym świetle, padającym zza jego pleców, można było rozróżnić mnóstwo lśniących dźwigni ustawionych pionowo. Tworzyły one wąski korytarz prowadzący na prawo i na lewo od drzwi. Korytarz wyglądał jak mała aleja wysadzona młodymi drzewkami. Pnie ich błyszcząły jak w świetle księżyca. „Nie, to nie tak — pomyślał Timofiej przechodząc przez próg kabiny. — Zupełnie niepodobne do stacji meteorologicznej”.

Nie potrafił uzmysłwić sobie przeznaczenia tego urządzenia. Dziwne, niezrozumiałe dźwignie gubiły się gdzieś daleko w ciemności. Korytarz wydawał się bez końca.

Tim przekroczył niskie przegródki i spróbował iść naprzód. Nie było to łatwe, gdyż podłoga często usuwała się spod nóg. Kabina kołysała się, jak gdyby maszyna, na której ją wieziono, jechała po pagórkach. Nie, to naturalnie niemożliwe. Żadne auto nie zdoła przewieźć takiej olbrzymiej konstrukcji. A może ustawiono ją na specjalnej platformie?

Kabina pochyliła się silnie. Timofiej, starając się utrzymać równowagę, chwycił niechcący za dźwignię. W tej chwili poczuł, że dźwignia podnosi się do góry.

Macając przed sobą rękami i czepiając się dźwigni, które ożywały przy najlżejszym dotknięciu, Babkin długo szedł wąskim korytarzem. Wydawało mu się bardzo dziwne, że korytarz był taki długi i ciągle nie widać było końca.

Nagle spostrzegł Babkin przed sobą wąskie pasemko światła. Podeszedł bliżej i ze zdziwieniem zauważył na pół uchylone drzwi. Ostrożnie przez nie zajrzał i zobaczył siedzącego na podłodze człowieka. Był to Dim.

„Co za nonsens — pomyślał Babkin. — Czyżbym szedł dookoła kabiny" Trzeba sprawdzić jeszcze raz“.

Tim znowu wszedł w aleję metalowych pni. Nie ulegało wątpliwości, że szedł po obwodzie koła. Dalsze sprawdzanie było bezcelowe.

Postanowił wrócić. Zaledwie zrobił kilka kroków z powrotem, gdy nagle pod nogami poczuł lekko wypukłe wieko włazu. „Czyżby ten właz był wyjściem z kolistego korytarza — pomyślał Timofiej osuwając się na kolana i obmacując zamki pokrywy. — Czy można od wewnątrz otworzyć to wieko ?“

Babkin namacał mocne zasuwki i zaczął je po kolei odsuwać. Właz otworzył się. Babkin pochylił się nad nim, namacał drabinkę prowadzącą w dół i ostrożnie zaczął schodzić w głąb wąskiej studni.

„Na dole zapewne jest drugi właz, który też można otworzyć od wewnątrz — myślał Tim trzymając się szczebli drabiny. — W takim razie wydostaniemy się stąd i nikt nie dowie się nigdy, w jak trudnej sytuacji byli młodzi technicy z instytutu“.

Rzeczywiście na dole był drugi właz. Długo nie poddawało się jego wieko — widocznie przytrzymały je gumowe podkładki. W końcu jednak Babkin otworzył właz.

Przez otwór wtargnęło świeże, nocne powietrze. Było ciemno. Ciekawe, jak długo jeszcze do świtu? A może kabina jest okryta pokrowcem? Timofiej chciał już wyjść przez właz, lecz w tej chwili zwrócił uwagę na jakieś błyszczące punkty, rozrzucone w kształcie czworoboku. Czyżby to były dziurki w brezencie? Lecz co to? Poruszają się?

Babkin przyjrzał się im uważnie i nagle zrozumiał, że pod nogami widzi światła ziemi, które szybko oddalają się w dół...

3. LABORATORIUM BEZ LUDZI

Istnieje nauka zwana aerologią. Timofiej trochę się orientował w tym zakresie. Wiedział o istnieniu prądów powietrznych, wiedział, że bada się je za pomocą balonów-sond. Często montował maleńkie nadajniki do sond radiowych, które, docierając do stratosfery, automatycznie wysyłają stamtąd sygnały. Sygnały te są zapisywane przez doświadczonych radiotelegrafistów dyżurujących przy odbiornikach lub przez specjalne przyrządy samopiszące. Według tych sygnałów meteorologowie określają kierunek prądów powietrznych, temperaturę, wilgotność i szereg innych danych charakteryzujących stan atmosfery.

Ocean powietrzny bada się nie tylko **za** pomocą radio-sond: często **wysyła** się tam także latające laboratorium, umieszczone na balonach lub samolotach. Prawdopodobnie w jednym z takich laboratoriów podróżowali teraz Bagrecow i Babkin.

W latającym laboratorium zainstalowane są automatyczne przyrządy. Znaczy to, że nie powinni znajdować się w nim ludzie. W jaki sposób zawiadomić poligon, że zaszła omyłka i że w laboratorium są ludzie? Radiostacja zmontowana jest na wierzchu w zamkniętej komorze. Dostać się do niej nie można. Cóż by tu jeszcze wymyślić?

Babkin nachylił się nad włazem. W dole było ciemno. Światła ziemi dawno już zbladły i rozplynęły się w mglistą, jasną plamę.

Timofiej spoglądał w czarną przepaść. Teraz właśnie poczuł się nagle całkiem spokojny. Być może dlatego, że jeszcze niezupełnie uzmysłowił sobie całą beznadziejność sytuacji. Cóż zresz



Timofiej, starając się utrzymać równowagę, chwycił niechcący za wignię

tą mógł przedsięwziąć w takich okolicznościach? Krzycheć? Bezcelowe. Któż usłyszy go z takiej wysokości? A co najważniejsze — Babkin nie mógł sobie wyobrazić, aby z jego i Dima powodu przerwano pierwsze, bardzo ważne próby latającego laboratorium.

„Nic nie szkodzi — myślał — nie będziemy tu przeszkadzać, a kto wie, może nawet przydamy się do czegoś”.

Timofiej wspiął się na górę i usiadł koło włazu. Co za szczęście, że wreszcie można zdjąć buciki. Nachylił się i zaczął rozwiązywać sznurowadła. Nogi paliły go i dokuczały nieznośnie, jak gdyby zanurzono je we wrzątku. Timofiej z całych sił pociągnął za sznurowadło. Bucik ześliznął się z nogi, wypadł przez właz i zniknął w ciemnościach.

Timofiej odczuł podwójną ulgę. Teraz już nigdy nie będzie mógł włożyć tych eleganckich, cytrynowożółtych bucików, które zapewne przeznaczone są do badania wytrzymałości nerwów. Zdjął także drugi i posłał go w ślad za pierwszym. Nie miał ochoty zostawiać go sobie na pamiątkę..

Pomimo wszystko, Timofiej czuł się w tym momencie naprawdę szczęśliwy. Z rozkoszą poruszał obrzękłymi palcami i roześmiał się cicho. Nie rozstałby się chyba nigdy ze znienawidzonymi bucikami, gdyby nie ten szczęśliwy przypadek.

Lecz pierwsza radość szybko minęła. Co zrobić z Bagrecowem ? Przecież on jeszcze o niczym nie wie. Może nie mówić mu nie do rana, a potem zobaczymy, co będzie dalej ?

Lecz Dim stał już obok niego.

— Słuchaj, Tim, czy ty coś rozumiesz? - pytał pochyliwszy się nad Babkinem.

--- A ty?

--- Odnoszę takie wrażenie, jak gdybyśmy się unosili w powietrzu.

- Tak... piękna droga...

Przez otwartą pokrywę włazu wtargnął chłód nocy. Wadim wzdrygnął się z zimna.

— Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że gdzieś tu jest otwarte okno — rzekł, wciąż jeszcze nic nie rozumiejąc. — Czy ty nie czujesz?

— Tak, tu jest zimno. Chodźmy z powrotem. — Timofiej ziewnął, przeciągnął się i dorzucił: — Czas już spać... Rano dowiemy się o wszystkim.

— Dobrze, ale zostańmy tutaj. Tam jest duszno. Chcesz podścielić sobie moją marynarkę? — troskliwie zaproponował Wadim.

Babkin nie zgodził się. Wadim rozciągnął się na podłodze i podłożył ręce pod głowę. Niewygodnie było leżeć, gdyż podłoga w tym kolistym korytarzu była również karbowana i boleśnie wpijała się w ciało.

— Tim! — dał się słyszeć wśród ciemności senny głos.

— Ania mi mówiła, że powierzono jej odbieranie sygnałów nadawanych przez tę stację meteorologiczną.

— No i cóż z tego?

— Ustawię kabinę na górze — marzycielsko ciągnął dalej Bagrecow — i sygnały jej radiostacji ulecą w przestworza eteru... Ania będzie je codziennie odbierać... Będzie zapisywać cyfry wilgotności i ciśnienia. Może nawet będzie się cieszyć, że na szczycie w górach Ałatau panuje piękna pogoda... Lecz kto jej powie, że zamknięci w żelaznym pudle giną technicy z Centralnego Instytutu? Jeden z nich był w zwykłych, a drugi... w pięknych, żółtych bucikach.

Babkin nic nie odpowiedział. Przypomniał sobie, że dziewczyna rzeczywiście drwiąco spoglądała na jego śmieszne buciki, co — jak mu się wydawało — nie było zbyt uprzejme z jej strony.

A Dimka też dobry sobie! Sam namówił go do tego, a teraz znęca się. Ale nic nie szkodzi, zobaczymy, co powie rano, jak spojrzy przez otwarty właz. Zobaczy, jakie to góry Ałatau!...

Ale Timofiej przestał naigrawać się z niego i z utajoną, trwogą oczekiwał świtu.

„Co będzie rano?” — rozmyślał, z ukosa spoglądając na wąską elipsę włazu, widniejącą w głębi kabiny.

Otwór stawał się coraz bardziej widoczny. Zaczynało świtać! Powietrzne laboratorium zwolna płynęło nad ziemią, lecz znajdujący się w nim przypadkowi pasażerowie nie odczuwali żadnego ruchu ani kołysania, jak gdyby wszystko zamarło na miejscu.

— Tim — powiedział znowu Bagrecow — żarty na stronę. Co będzie, jeżeli nasza podróż naprawdę przeciągnie się, powiedzmy tydzień lub dwa?

- Umrzemy — obojętnie odrzekł Timofiej. — Na pewno — dorzuci: i od razu pożałował tego, co powiedział: — „Po co straszyc chłopca. Wkrótce i tak będzie mu niezbyt wesoło”.

— Chcesz powiedzieć, że nie pozostaje nam nic innego, jak liczyć na pomoc przypadku lub dobrych wrózek? O, jeżeliby Ania domyśliła się, gdzie zniknęliśmy. Ona wie przecież, że nie wypadałoby nam wyjechać bez pożegnania z nią.

Dim spojrzał przypadkowo w głąb kabiny i zamilkł od razu. W mglistym świetle rysował się owalny otwór.

— Timka, popatrz, wyjście!

Czepiając się pionowych dźwigni, Wadim podbiegł do włazu.

W mgle przedświtu wszystko na ziemi wydawało się szare, podobne do asfaltu. Chciałoby się czym prędzej wyskoczyć na dół, na drogę i skończyć z niepewnością. Dość już siedzenia w tym żelaznym pudle. Teraz jest odpowiednia pora na to, aby

niepostrzeżenie wydostać się z niego. Ciemno, nikt nie zobaczy. Lecz Babkin chwycił towarzysza za ramiona i ze złością pociągnął go do góry.

— Nie waż się! — krzyknął z gniewem. — Rozumiesz, nie waż się!

Wadim ze zdumieniem wyszedł z wjazdu. Co się dzieje z Timką?

Timofiej podniósł wieko i z hukiem je zamknął. W kabinie zrobiło się ciemno.

Długi czas milczeli obydwaj. Wadim czuł się głęboko urażony. Kto dał Timce prawo rozkazywania?

A Timofiej w tym czasie myślał o czymś zupełnie innym. Starał się wyobrazić sobie, co będzie, gdy Dim dowie się całej prawdy?

W jaki sposób przygotować go do tego? Jak mu powiedzieć, że lecą, a nie jadą po szosie?

— Słuchaj, Dim — zwrócił się do towarzysza, starając się mówić beztrasko.

— Co? - krótko odpowiedział Bagrecow, wciąż jeszcze obrażony.

— Pamiętasz, jak montowaliśmy nadajniki do radiosond?

— Daremny trud.

— A to dlaczego ?

— No, tak... Człowiek dobrze, starannie wykona przyrząd, a wszystko to, można powiedzieć, na próżno: przyrząd popracuje kilka godzin, a potem uleci gdzieś do Arktyki — i nie ma go.

— Ale wymyślił. Takie wypadki nigdy się nie zdarzały. Radiosondy nie mogą zalecieć tak daleko...

— Są jeszcze lepsze wypadki. Balony wznoszą się na wysokość trzydziestu — czterdziestu kilometrów, pękają i wszystkie

nasze nadajniki, baterie i różne urządzenia meteorologiczne diabli biorą.

— Ale nie zawsze rozbijają się — próbował oponować Tim, a jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, że to słabe pocieszenie. Rozmowa przybrała niepożądany kierunek. Po takiej rozmowie łatwo sobie wyobrazić, że i to laboratorium meteorologiczne po osiągnięciu stratosfery pęknie i „Pójdzie do diabła”. Timofiej zamyślił się na chwilę, lecz od razu odsunął od siebie tę myśl: „przecież nie po to zbudowano taką skomplikowaną stację, żeby miała ulec zniszczeniu...”

Słowa Wadima podziałały jednak na niego. Gdzieś w głębi świadomości zrodziło się powątpiewanie w szczęśliwe zakończenie ich podróży. Przed oczyma stanęły mu szczątki latającego laboratorium... Usłyszają lekki trzask. To gdzieś nad nimi pęknie powłoka... Po pokryciu gondoli zawyje wiatr. Opadnie gwałtownie podłoga, usuwając się spod nóg... Ogłuszający huk... Jaskrawy wybuch podobny do płomienia acetylenu...

Babkin mimo woli zamknął oczy. Gdy otworzył je, ponownie spostrzegł jasny otwór wjazdu, a w nim... głowę Bagrecowa. Odrzuciwszy wieko Wadim położył się na brzuchu i patrzył na przesuwającą się w dole panoramę.

Z zapartym tchem Babkin oczekiwał, co powie towarzysz. Jak zareaguje? Latające laboratorium płynęło nad ziemią na stosunkowo niewielkiej wysokości, pięciuset czy siedmiuset metrów. Słońce ukazało się już na widnokręgu i poprzez rozpraszającą się poranną mgłę widać było podłużne cienie pojedynczych drzew. Cienie padały na pokrywający łąki żółty kobierzec z dmuchawców i rzepaku. Niekiedy żółte plamy mieszały się z białymi. Były to puszyste kulki przekwitających dmuchawców. Babkinowi wydawało się wtedy, że w dole przepływa ogromna patelnia z jajecznicą.

Bagrecow milczał. Po jego twarzy błędził uśmiech zakłopotania. Chciał coś powiedzieć, lecz widocznie nie mógł się zdecydować.

— No? — niecierpliwie zapytał Babkin. — Strach cię obleciał?

Twarz Bagrecowa pokryła się czerwonymi plamami. Powoli odwrócił się i znów popatrzył w dół. Tak, poczuł strach. Bał się o siebie i swego towarzysza, gdyż rozumiał, w jakim są położeniu. Lot automatycznej stacji meteorologicznej może trwać wiele dni. Drogę stacji wytyczają kapryśne prądy powietrzne i nic nie może wpłynąć na zmianę trasy.

Bagrecow uniósł się na łokciach, następnie włożył nogi do włazu i zaczął schodzić w dół po cienkiej aluminiowej drabinie. Timofiej zamarł w bezruchu, gotów w każdej chwili rzucić się za przyjaciелеm.

Wadim usiadł na ostatnim szczeblu drabiny i w milczeniu spoglądał na przepływające pod nim pola. Starał się sam siebie uspokoić i nie myśleć o tym, co może zdarzyć się dzisiaj lub jutro. W głębi duszy był nawet zadowolony z siebie. Pokonał ogarniający go strach i niemal zupełnie spokojnie siedział na cienkim szczeblu, spoglądając w dół z wysokości pięciuset metrów.

Ziemia pokryta była poranną rosą. Gdzieś na boku pozostały gęste lasy, przez które przebiegała prosta i błyszcząca, jak rzeka, autostrada Kijów—Żytomierz. Przepływały chutory otoczone różową pianą wiśniowych sadów. Przy drogach kwitły żółte kiście akacji. Jaskrawoczerwone malwy tuliły się do świeżo wybielonych chat.

Być może z wysokości nie wszystko widać było tak szczegółowo, lecz wyobraźnia Bagrecowa uzupełniła krajobraz. Wadim ostrożnie wspiął się w górę i milcząc usiadł obok włazu.

Babkin czuł, że Dim jest obrażony. Nie należało zarzucać mu tchórzostwa. A teraz nie wiadomo, jak okupić swoją winę. Wiedział jednak, że Dim ma łagodne usposobienie i łatwo zapomina o urazie.

— Tim! — usłyszał w końcu głos przyjaciela. — Wiesz co, Tim — mówił Bagrecow udając spokój. — Jesteśmy w gondoli stratostatu, w której zmontowano radiostację nadającą automatycznie sygnały pogody. Wydaje mi się, że stratostat był obliczony na wzniesienie się do górnych warstw stratosfery, bez ludzi. Jednak, mimo wszystko, ludzie są w nim i dlatego stratostat leci tak nisko. — Trzeba w jakiś sposób zawiadomić poligon o tym, co zaszło.

— Sądzisz, że to przez nas stacja meteorologiczna nie może wznieść się wyżej? — zapytał Timofiej z niepokojem.

— Tak mi się wydaje.

— Udaremniliśmy im doświadczenia — rzekł Babkin z zadumą, patrząc w jeden punkt.

— Przecież to nie nasza wina — zauważył Wadim z zakłopotaniem. — Chcieliśmy jak najlepiej.

— Jak długo przygotowywano się do tych doświadczeń — ciągnął Timofiej nie słuchając go. — Sprawdzano, obliczano... Jestem przekonany, że nikt więcej na świecie nie budował takich stratostatów. Na pewno — podkreślił z głębokim przeświadczeniem — jest to pierwsza próba. A my... Tim machnął ręką i dorzucił zmartwiony: — Szkoda mówić!

W dole ukazała się rzeka. Złocisty, drgający odbłask wody wdarł się przez właz do kabiny, zawirował na karbowanej podłodze i znowu znikł.

4. „BEZUŻYTECZNY CIĘŻAR”

Minęło kilka godzin. W dole przepływały lasy i łąki, pastwiska i pola uprawne. Oddalały się osiedla, wsie i folwarki. Czasami w wolnym otworze wjazdu ukazywało się niewielkie miasteczko i również znikало.

Babkin, wychowany na wsi, zwracał uwagę na wiele szczegółów, których nie widział jego towarzysz, wychowany w mieście.

Z wysokości pięciuset metrów mógł określić, czy dobrze wschodzi ozimina. Radowały go równe, gęsto zasiane pola. Na ulicach kołchozów widział świeże, jeszcze nie ściemniałe słupy, świadczące o tym, że w tym osiedlu niedawno zbudowano elektrownię. Przejeżdżali nad zupełnie nowymi wsiami, świeżymi złotem świeżo struganego drzewa. Tylko czarne plamy dawnych pogorzelsk na ich krańcach przypominały o tym, że wtedy przewaliła się wojna. Timofiej doświadczonym okiem oceniał bogactwo kołchozów odbudowanych po wojnie. Od razu spozstrzegał nowozbudowaną oborę, fermę mleczną lub żłobek dziecięcy. Widział nowy płot MTS, traktory i maszyny, widział stada u wodopoju przy rzece, pola arbuzów i ogrody. Wiedział, że to wszystko należy do kołchozów, i budziło się w nim uczucie dumy z radzieckich ludzi budujących nowe życie.

— Patrz! — usłyszał głos towarzysza.

Timofiej spojrział w stronę, którą wskazał Wadim. Po zielonej łące płynął olbrzymi cień ich stratostatu. Nie, tak nie wolno go było nazywać. Cień przesuwany się po trawie nie mógł być w żadnym wypadku cieniem balonu. W ukośnych promieniach wschodzącego słońca cień wydał się długim, ciemnym cygarem

ze zgrubieniami na wierzchu i u dołu. Ich latające laboratorium posiada zupełnie kształt cygara lub dysku, co można będzie łatwo sprawdzić, gdy słońce znajdzie się wyżej. Tim przypuszcza jednak, że jest to raczej dysk z cylindryczną kabiną pośrodku.

Jakże w innym wypadku rozmieścić w cygarze korytarz o kształci pierścienia, z ruchomymi dźwigniami? Babkin zrozumiał wiele rzeczy. I karbowane ściany, przez które dźwięk nie przenika, gdyż są otoczone gazem. I to, że wejście do wewnętrznej kabiny prowadzi przez szeroką rurę zamkniętą z dwóch stron hermetycznymi pokrywami.

Tim wyobrażał sobie, jak zbudowane jest latające laboratorium, w którym się znajdowali. Sądził, że jest to sterowiec o niezwyklej kształcie wykonany całkowicie z metalu, o stosunkowo niewielkiej pojemności, obliczony na długotrwały lot w górnych warstwach atmosfery. Brak napędu śmigowego i załogi oraz zastosowanie bardzo lekkiej aparatury, stanowiącej główne obciążenie tego oryginalnego, sterowanego na odległość latającego laboratorium, pozwoliłoby mu wznieść się bardzo wysoko. Możliwe że nawet tam, dokąd nie docierały radiosondy, a tym bardziej ludzie na zwykłych stratostatach. Lecz teraz laboratorium pełza niemal przy samej ziemi — dlatego, że znajdują się w nim ludzie, którzy są tu zupełnie zbędni

Czułe i niezawodne przyrządy automatyczne przekazują za pomocą radia nie tylko temperaturę, ciśnienie, wilgotność, szybkość prądów powietrznych, natężenie promieniowania słonecznego... Timofiej przypuszczał, że laboratorium potrafi przekazywać bardziej skomplikowane dane na przykład: skład powietrza i wiele innych. Jeżeli tak nie jest, to po co zmontowano tutaj tyle nieznanymi przyrządów? „Doskonały pomysł naszych inżynierów — myślał Babkin. — Stratostat bez ludzi. A my — czy nie przeszkodziliśmy im w próbach? Pierwsze próby!“.

Uczucie głębokiej winy nie opuszczało Babkina ani na chwilę. Bagrecowowi znudziło się patrzenie w dół. Obrócił się do Timofieja i zapytał:

— Więc ty sądzisz, że to... sterowiec?

— Nie, to coś w rodzaju „latającej wyspy“ — Babkin odpowiedział opieszale, pogrążony we własnych myślach.

Silny wiatr gnał latające laboratorium na południe. Przepłynęły pod nim Stepy Chersońskie i Dniepr błysnął jaskrawym błękitem. W przystani stał parowiec, wyglądający z góry jak papierowy okręcik. — Tim — rzekł Bagrecow wskazując na błyszczący, karbowany dach kabiny. — Jak sądzisz, dlaczego umieszczono tam te rozsuwające się dźwignie? Może służą one do automatycznego sterowania?

— Słabo orientuję się w tych sprawach — niechętnie odpowiedział Timofiej. — Wydaje mi się jednak, że zrobiono je, aby zmienić objętość stratostatu. Powłoka jego powinna rozszerzać się w miarę wzrostu wysokości. Pamiętam, że Ciołkowski wykonał model sztywnego sterowca zmiennej objętości.

— Czytałem już o tym — rzekł Wadim. — Spójrz!

Wyciągnął swój zeszyt.

— Wyobrażam sobie, że to laboratorium tak wygląda: dysk o zmiennej objętości. — Nakreślił w zeszycie elipsę przypominającą ogórek. — Wznosząc się w górę, powinien prawdopodobnie grubieć. Środek dysku stanowi utrzymująca go w równowadze kabina z przyrządami i radiostacją. — Dim narysował maleńki, podłużny prostokąt. — Ze światem zewnętrznym łączy się ona za pomocą podwójnego wjazdu, przez który weszliśmy. Dookoła kabiny, w izolowanej komorze o kształcie pierścienia, są automatyczne urządzenia, kierujące zmianą objętości dysku. Tutaj widzimy drugi, podwójny wjazd. Ten właśnie. Dookoła komory, w sztywnej powłoce samego sterowca znajduje się gaz, prawdopo-

dobnie hel. Kabina jest podzielona na dwie części. Wadim przeprowadził poziomą linię. — W jednym izolowanym oddziale mieści się radiostacja, a z zewnątrz wszystkie przyrządy meteorologiczne, dla których właściwie skonstruowane jest to laboratorium. W drugim oddziale — na dole, dokąd weszliśmy — pokazał ołówkiem — znajdują się urządzenia w rodzaju naszego przerywacza, które przekształcają dane, wykazane przez przyrządy, w elektryczne impulsy. Tutaj są też akumulatory... Czy zauważyłeś, że te dźwignie podnoszą się i opuszczają? Wiesz, Tim — ożywił się Bagrecow — zdaje mi się, że te poruszające się dźwignie kierują oddychaniem naszej „latającej wyspy“.

— Oddychaniem?

— Pod działaniem słońca gaz rozszerza się, a nocą zmniejsza swoją objętość. Aby więc to latające laboratorium nie wznosiło się do góry i nie opadało na dół w ciągu doby, w zależności od pory doby, poruszające się dźwignie, połączone z powłoką, w jakiś sposób dokonują zmiany objętości sterowca.

Wadim umilkł. Przypomniawszy sobie Ciołkowskiego, który projektował nie tylko całkowicie metalowe sterowce, lecz także rakiety międzyplanetarne. Był to uczonek, który całe swoje życie poświęcił realizacji odwiecznego marzenia ludzkości — rozszerzenia granicy poznania świata. Nie wiedział wtedy, że niedługo ludzie będą dążyć do zbadania przestrzeni kosmicznych, aby zgłębić tajemnicę nie Marsa czy Merkurego, lecz swojej planety — Ziemi. Że pomkną w górę na spotkanie niezbadanych jeszcze wszystko przenikających promieni. W promieniach tych ukryta jest tajemnica atomów, z których powstał świat. Po odkryciu istoty promieni kosmicznych, rozbijających atomy, człowiek mógłby wykorzystać niewyczerpane zapasy energii atomowej nagromadzonej na ziemi. Wielkie, lecz bliskie już realizacji marzenie! Bagrecow wyobraził sobie ten okres...

— Słuchaj, Tim — postanowił podzielić się swoimi myślami z przyjacielem. — Wiesz, o Czym myślę?

— No?

— Czy dożyjemy takich dni, kiedy energia atomowa, uwięziony w zwykłej cegle, wystarczy, aby dojechać pociągiem z Moskwy do Władywostoku? Słyszałeś o tym kiedykolwiek?

— Ty znowu swoje — zauważył Babkin z niezadowoleniem. — Fantazja!

— Nic podobnego. Jeden kilogram węgla daje przy spalaniu około ośmiu kilowatogodzin, jeżeli przekształcimy jego energię w elektryczną. Natomiast energia atomowa jednego kilograma węgla daje dwadzieścia pięć miliardów kilowatogodzin. Czy wyobrażasz sobie, co to znaczy? Ta ilość energii jest zaledwie trzykrotnie mniejsza od energii elektrycznej, wyprodukowanej w ZSRR w 1950 roku.

— To znaczy, że z trzech takich cegieł możemy otrzymać tyle energii elektrycznej, ile dają w ciągu roku wszystkie elektrownie Związku Radzieckiego? — zapytał z niedowierzaniem Tim.

— No, oczywiście!... Zbędne będzie wydobywanie węgla i ropy naftowej. Można będzie czerpać energię nawet z wody. Na ziemi mamy jej dostateczną ilość. Jeżeli udałoby się zbadać istotę promieni kosmicznych i otrzymać je w laboratorium, wówczas można byłoby wszystkiego dokonać.

— Myślę — powiedział Babkin — że uczeni celowo studiują wysokie warstwy atmosfery. Nie wiem, co tam znajdują, ale teraz wszystko ma znaczenie, nawet skład powietrza, badany za pomocą analizatora. Interesują się także wilgotnością powietrza. To znaczy, że i nasz przerywacz przysłuży się nauce.

Wadim zgodził się z nim niechętnie. Ani krzty fantazji nie ma ten Babkin. „Przysłuży się... Czy można tak mówić?” Spojrzał



Ogłuszający trzask, jak gdyby rozerwał na dwoje metalową powłokę dysku

na towarzysza i ze zdziwieniem zauważył, że Tim siedzi w samych skarpetkach. Gdzież podziały się jego piękne buciki?

— Dim — powiedział Babkin po chwili milczenia — być może, że rzeczywiście z naszego powodu nie udadzą, się te ważne doświadczenia. Ale skoro już tu jesteśmy, musimy wszystkiego doglądać. Rozumiesz... po gospodarsku... Wszystko zapisywać, zwracać uwagę na to, jak i co pracuje... I z tego będzie pożytek...

— Ale tutaj trudno się zorientować — próbował oponować Dim.

— A jeżeli trzeba?

Wadim popatrzył uważnie na towarzysza i wyjmując z kieszeni zeszyt powiedział:

— A więc zorientujemy się...

Nagle w kabinie zapanowała zupełna ciemność. Dim pomyślał, że pewnie zatrzasnął się luk. Nie, nic podobnego. Spojrzał w dół — nic nie widać. Błękitnawa mgła zakryła ziemię. Czyżby burza? Czy laboratorium ja wytrzyma? Dim wzdrygnął się, jak gdyby z zimna. Gwałtowny poryw wiatru podrzucił latający dysk wysoko w górę. Wadim uderzył się boleśnie łokciem o ściankę i instynktownie uchwycił się pionowej rurki. W otworze włazu zawirowały strzępki rozerwanej chmury. Z daleka, jak huk zbliżającego się bombardowania, dochodził łoskot grzmotu. Latające laboratorium stopniowo zbliżało się do dolnego brzegu chmury burzowej. Dokąd poniesie ta czarna chmura latający dysk automatycznej stacji meteorologicznej?

Gwałtowny wstrząs zmusił Dima do silniejszego uchwycenia się rury. Laboratorium meteorologiczne zagłębiło się w chmurę. Niespodziewany wicher szarpnął i zawirował nim, jak liściem oderwanym z drzewa.

Babkin także uchwycił się brzegu włazu i zacisnąwszy zęby patrzył w dół, starając się określić wysokość lotu. Wydawało mu

się, że podczas takiego niewiarogodnego kołysania dysk zniży się tak bardzo, że może zderzyć się z ziemią.

Dim zamknął oczy i z rozpaczą oczekiwał chwili, gdy krucha konstrukcja latającego laboratorium przełamie się jak płacuszek na dwie części. Niekiedy wydawało mu się, że dysk obraca się zupełnie pionowo i ześlizguje się w dół jak ze stromej góry. Ogłuszający trzask jak gdyby rozerwał na dwoje metalową powłokę dysku. Przez zamknięte powieki Wadim ujrzał ognisto-czerwony krąg. To błyskawica zabłysła w otworze wjazdu. Nigdy - w życiu nie widział tak blisko błyskawicy. Wydawało się, że można jej dotknąć nie wychodząc z wjazdu.

Znowu uderzenie... Bagrecow odniósł wrażenie, że błyskawica wdarła się do kabiny i miotała się w niej jak w Matce.

5. STO SIEDEMDZIESIĄT TYSIĘCY AMPERÓW

Inżynier Deriabin był niezadowolony. Dużo pracy kosztowało go ustawienie aparatury radiowej w latającym laboratorium o tak niezwyklej konstrukcji. Podczas montowania radiostacji unikał starannie zbędnego centymetra kabla, zbędnej śrubki lub kłamy, byleby zmniejszyć ciężar własny przeznaczonego do lotu dysku i móc umieścić w kabinie jak najwięcej przyborów meteorologicznych. Zawzięcie sprzeczał się z konstruktorami, którzy w żaden sposób nie mogli pojąć, że wypełnić warunki techniczne to mało — należy je bezwzględnie przekroczyć. Radiostacja powinna mieć ciężar mniejszy o dwadzieścia procent od przewidzianego w warunkach technicznych.

Deriabin nie mógł mówić spokojnie o kierowniku dziewiątego laboratorium, Nikonowie, który przerywacz opracowany w centralnym instytucie zrobił o trzysta czterdzieści gramów cięższy, niż to było przewidziane. Do montażu tego przyrządu Nikonow przysłał jakichś młodzieńców. Przyjechali niestety bardzo późno, prawie w ostatniej chwili i tylko dlatego Deriabin nie odesłał przerywacza Nikonowowi. I teraz walczącego rozpaczliwie ze zbędnymi gramami nadwagi aparatury Deriabina ogarnęła obawa, iż latające laboratorium nie osiągnie przewidzianego pułapu. — W dzisiejszych próbach, przy określonej objętości dysku, laboratorium powinno było lecieć na wysokości tysiąca pięciuset metrów, a tymczasem ledwo-ledwo dociągnęło do siedmiuset...

Deriabinowi wydawało się, że nigdy nie odważy się powiedzieć o tym niepowodzeniu profesorowi Demidowowi. Latające laboratorium zostało zbudowane właśnie po to, by wypróbować przyrządy profesora. Deriabinowi brakło odwagi, nie dlatego oczywiście, że bał się profesora. Chodziło o coś zupełnie innego. Nie było ani jednego człowieka w gronie współpracowników Aleksjeja Fomicza, który by z lekkim sercem zawiadomił profesora o niepowodzeniu. W obecności Demidowa wszyscy jego współpracownicy, nie zdając sobie z tego sprawy, mówili półgłosem, szanując spokój tego wielkiego i prostego człowieka. Profesor Alekszej Fomicz Demidow nie zajmował wysokiego stanowiska. Był tylko kierownikiem laboratorium. Jednak metody pracy i cechy charakteru wyrobiły mu sławę śmiałego uczonego i człowieka o wyjątkowym uroku.

I oto tak się stało, że Deriabin, pomimo wszystkich środków przedsięwziętych w celu zmniejszenia wagi latającego laboratorium, czuł się winny, chociaż w mniejszym stopniu niż konstruktor inżynier Pojarkow Pojarkow zapewniał, że latająca stacja

meteorologiczna, wywołująca zdumienie wielu specjalistów swym niezwykłym kształtem, może wznieść się do jonosfery, jeżeli aparatura nie będzie przekraczała przewidzianego ciężaru.

— Samochwała! — mruzczał Borys Zacharewicz obserwując samopiszące przyrządy na stacji odbiorczej doświadczalnego poligonu.

Co powie, gdy trzeba będzie rozpocząć drugą serię prób już w stratosferze? Czy przyrządy Demidowa osiągną przewidzianą wysokość?

Inżynier patrzył na powoli pełznącą taśmę, na której wesoło podrygujące piórko wykreślało wyniki pomiarów przekazywane przez przyrządy. Czytając doświadczonym okiem prosto z taśmy, Deriabin z ukosa spoglądał przez okulary na konstruktora i uśmiechał się pogardliwie. Pojarkow, blady i zły po nieprzespanych nocach, nerwowo palił papierosa za papierosem, zapalając jednego od drugiego. Czyżby pomylił się w obliczeniach?

Konstruktor często zwracał się do dyżurnej radiotelegrafistki Ani, drobnej dziewczyny o szybkich, cienkich palcach. Prosił ją o rozszyfrowanie wyników pomiarów radiowysokościomierza, które periodicznie pojawiały się na taśmie.

— Te same siedemset metrów — cicho odpowiadała Ania. Ona sama była nie mniej od innych zdenerwowana rezultatami pierwszych badań. Nie tylko ona jedna. Wszyscy, znajdujący się na stacji odbiorczej, obawiali się o wynik prób. Tyle miesięcy trwało przygotowanie do lotu, tyle razy sprawdzano radiostację, aparaty, przyrządy, tyle bezsennych nocy poświęcili pracy!... Latające laboratorium powinno wznieść się na taką wysokość, na jakiej nigdy nie przebywał człowiek i dokąd nigdy nie dolatywała żadna radiosonda.

Prace Demidowa były znane tylko nielicznym. Jednak niektórzy uczeni przypuszczali, że przyrządy profesora Demidowa

wzniesione do jonosfery mogą zupełnie zmienić nasze pojęcia o zjawiskach zachodzących w głębinach powietrznego oceanu. Oryginalny i śmiały kształt latającego aparatu, przeznaczonego do wypróbowania przyrządów Aleksjeja Fomicza, wywołał pomiędzy specjalistami zawzięte dyskusje. Wielu twierdziło, że latający dysk nie będzie miał odpowiedniej stateczności w powietrzu. Pojarkow jednak udowodnił im, nie tylko obliczeniami, lecz także doświadczalnie, że jest inaczej. Przypomniał, że szybowce typu „latające skrzydło”, zbudowane po raz pierwszy wiele lat temu przez radzieckich inżynierów, były absolutnie stateczne w powietrzu. Zresztą obecnie stateczność dysku została udowodniona: niezwykle laboratorium utrzymuje się zupełnie dobrze w powietrzu już kilka godzin.

Drzwi otworzyły się cicho.

Na progu ukazał się człowiek w ciemnym palcie i takim samym kapeluszu. Starając się nie przeszkadzać w pracy, zdjął kapelusz i cicho podszedł do stołu. Długo spoglądał na skaczące piórko. Wiatr wpadający przez otwarte okno leniwie muskał jego siwe, faliste włosy. Spod gęstych, ciemnych brwi ledwo dostrzegalnie połyskiwały przymrużone oczy. Widocznie światło w pokoju jest zbyt jaskrawe i przeszkadza śledzić ruchy kapryśnego piórka.

— Jak próby, Borysie Zacharowiczu ? — zapytał w końcu przybysz i podniósł głowę.

Deriabin zmieszał się. Nie oczekiwał, że profesor zwróci się bezpośrednio do niego. Cóż może odpowiedzieć? Przyrządy meteorologiczne działają bez zarzutu. Ale konstrukcja? Nie, na razie jeszcze nic nie wiadomo. Zbyt wcześnie, aby sądzić o możliwościach latającego dysku. W tej chwili stary inżynier był całkowicie po stronie konstruktora. Mogli spierać się ze sobą, mówić sobie nawzajem nieprzyjemne rzeczy, lecz teraz inżynier

Deriabin uważał, że odpowiada wspólnie z Pojarkowem za pomyślny wynik prób. Wspólnie pracowali i byli członkami jednego zespołu.

— Chwilowo nie ma podstaw do niepokoju Alekszejowi Fomiczu — odpowiedział. — Jestem pewny, że wasze aparaty zostaną wypróbowane na przewidzianej przez nas wysokości.

— Uważacie, że zwiększenie ich ciężaru nie powinno w znacznym stopniu wpłynąć na osiągnięcie przewidzianego pułapu? — zapytał Demidow jak gdyby przysłuchując się swoim myślom.

— Jakie zwiększenie? — starał się uspokoić go inżynier. — Dwadzieścia kilogramów? Czy warto o tym wspominać, jeżeli dzięki wam udało się uniknąć montażu magnesu o wadze pięćdziesięciu sześciu ton, co było dotychczas stosowane w podobnych urządzeniach na ziemi.

Demidow spojrzał na Pojarkowa.

— To znaczy, że laboratorium znajduje się obecnie na wysokości półtora tysiąca metrów?

Konstruktor po chwili ostro odpowiedział:

— Nie!

Jego. szczupła, żywa twarz jeszcze bardziej wydłużyła się i pociemniała. Z odsieczą pośpieszył mu Deriabin:

— Tak jak umówiliśmy się Alekszejowi Fomiczu — powiedział — laboratorium przeprowadza tymczasem obserwacje tuż nad ziemią. Są one konieczne, by wypróbować przyrządy meteorologiczne. Lecz jestem absolutnie pewny, że laboratorium osiągnie przewidzianą wysokość.

Pojarkow z wdzięcznością spojrzał na inżyniera i gdy Demidow znikł za drzwiami, zapytał zniżając głos:

— Borysie Zacharewiczu, wy oglądaliście kabinę przed samym startem. Czy nie ma w niej zbędnego balastu?

Deriabin zmierzył młodego inżyniera druzgocącym spojrzeniem znad okularów. Jak on ośmiela się tak mówić! Z kabiny wymieciono najdrobniejsze wiórki, pozostałe po wierceniu otworów w konstrukcji. Z akumulatorów wylano zbędne krople elektrolitu. A on powiada — balast!...

— Wybaczcie, Borysie Zacharowiczu — zaczął ze wzburzeniem Pojarkow. Zapomniał o wygasłym papierosie, który podczas rozmowy poruszał mu się w ustach. — Nic nie rozumiem. Wszystkie obliczenia wykazują, że strefa równowagi dla naszego latającego laboratorium przy danej objętości znajduje się znacznie wyżej. Już niczemu nie wierzę. Przyrządy Aleksjeja Fomicza są cięższe o dwadzieścia kilogramów. O tym wiem. Jednak wczoraj postanowiliśmy zamontować nowy przyrząd, dopiero co przywieziony z Moskwy. O nim nic nie wiem...

— W tej chwili dowiecie się — przerwał mu Deriabin. — Wezwijcie do mnie któregokolwiek z tych młodych ludzi, którzy wczoraj przybyli z Centralnego Instytutu — poprosił laboranta stojącego przy drzwiach. — Oni wam opowiedzą o swoim nowym aparacie. Ich przyrząd waży zaledwie tysiąc trzysta czterdzieści gramów. Należy przypuszczać, że podobny ciężar nie mógł stać się przeszkodą w locie laboratorium.

Pojarkow nie odrzekł nic. Wyrzuciwszy papierosa, znowu podbiegł do stołu, przy którym siedziała Ania i patrząc na taśmę zapisywała wskaźniki wilgotności, kierunek wiatru i natężenie promieniowania słonecznego. Dziecinnie marszcząc czoło, śledziła jednocześnie pracę innych przyrządów, których sygnały były zapisywane w postaci krzywych na powoli obracającym się bębnie. Niedaleko Ani siedział gruby radiotelegrafista o czerwonej twarzy. Wycierając ciągle spotniałe słuchawki, przyjmował przez telefon współrzędne nadawane przez stacje namiarowe śledzące położenie latającego laboratorium.

Laborant, wysiany na poszukiwanie techników przybyłych z Moskwy, wrócił:

— Borysie Zacharowiczu, nigdzie ich nie ma.

— Wyjechali?

— Nie, nie wychodzili z poligonu.

— Skąd wiecie o tym?

— Dowiadywałem się u strażnika.

— Bzdura!—gniewnie rzekł Deriabin. — Gdzież oni mogą być? Aniu, czy dzisiaj rano nie widzieliście tych zuchów, którzy wczoraj przyjechali do nas z Moskwy?

— Nie, Borysie Zacharowiczu.

— Czy rozmawialiście z nimi wczoraj? Nie zawiadomili was, kiedy mają zamiar wyjechać?

— Nie, Borysie Zacharowiczu. Ale oni jeszcze nie wyjechali.

— Jesteście tego pewni?

— Oczywiście — Ania ze zdziwieniem spojrzała na rozmówcę.

— Dlaczego? — zapytał inżynier nie ukrywając już swego rozdrażnienia.

— Dyżurowałam tutaj całą noc i nie pożegnali się ze mną.

— Bardzo przekonujący argument — mruknął Deriabin. — Szukajcie dalej — powiedział laborantowi. — Może gdzieś śpią.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w tej chwili piórko niespodziewanie podskoczyło na bębnie, w miejscu, gdzie notowane były wyniki pomiarów wysokościomierza. Piórko kreśliło duże zygzaki, jakby starając się wyskoczyć poza granice obracającego się cylindra.

Pojarkow rzucił papierosa i wpił się wzrokiem w bęben. Co się stało z latającym laboratorium? Miota się nad ziemią, jak gdyby się dostało w zasięg huraganu.

Linia wysokości stała się podobna do wykresu tętna chorego na febrę.

— Włączyć trzecią linię! — rozkazał Deriabin.

Zaczęły krążyć nowe bębny. Posłuszne piórka, na rozkaz automatycznych przyrządów latającego dysku, kreśliły na nich powyginane krzywe.

— Widzicie? — Deriabin wskazał na obracające się cylindry. — Kompletna autobiografia dzisiejszej burzy. Zwróćcie uwagę — ujął konstruktora za rękę — gwałtownie spadło ciśnienie. Spójrzcie, jaka jonizacja powietrza... A teraz błyskawica sama zawiadomiła nas, jaka jej siła.

Inżynier wyjął z kieszeni suwak i spojrzawszy na skalę siatki bębna, wykonał jakieś obliczenie.

— Tak, tak — powiedział uradowany. — Zupełnie wystarczają siła — około stu siedemdziesięciu tysięcy amperów.

Pojarkow patrzył ze zdumieniem na Borysa Zacharowicza. Czy by nie obawiał się, że ta wieloamperowa błyskawica przeżyje na wy latający dysk?

— No, jak się wam podobają przyrządy?... — triumfalnie zapyl Deriabin zdejmując okulary. Na twarzy jego pojawił się uśmiech. — Precyzja w dowolnych warunkach? Spójrzcie na analizę powietrza — rzekł wskazując na bęben. — Ta czerwona linia oznacza procent ozonu.

Piórko pełzło na papierze, pozostawiając za sobą cienki ślad, podobny do wyciągniętej żyłki. Nagle żyłka przerwała się i piórko bezradnie zśliznęło się w dół.

6. „SPOTKAŁEM BŁYSKAWICĘ”

Dziwne i niezwykle wrażenie. Ciemno. Poprzez ścianki izolowanej kabiny nie przenika z zewnątrz żaden dźwięk. Szczękają przekaźniki. W akumulatorach ledwo dosłyszalnie pękają pęcherzyki wodoru. Kołysze, ale ja kołysze!... Latający dysk w burzowej chmurze — to nie okręt na falach w czasie burzy. Żadnemu sternikowi nie śniło się, aby jego mostek mógł przetrzymać kołysanie o amplitudzie wahań sięgających setek metrów. Obydwa włazy zostały zamknięte (na wszelki wypadek: mówią, że w czasie burzy wałęsają się kuliste błyskawice wpadając do okna). Dim i Tim trzymając się śliskich rurek, leżeli na karbowanej podłodze. Rurki także zachowywały się niespokojnie, to podnosząc się, to opuszczając. Widocznie należały do systemu stabilizacji, który utrzymywał dysk w poziomym położeniu. Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić tak silne wrażenie spadania i wznoszenia się, jakie odczuwali przypadkowi pasażerowie latającego laboratorium.

Dim zatracił zupełnie rachubę czasu. Wydawało mu się, że wiatr bawi się dyskiem jak grzechotką, przy czym rolę ziarenek w tej aluminiowej zabawce spełniają technicy z laboratorium nr 9.

...Burza wreszcie minęła. Jak gdyby rozplynęła się w powietrzu cicho i niepostrzeżenie.

Dim i Tim siedzieli pewien czas w milczeniu, jakby oczekując powtórzenia się burzy w powietrznym oceanie.

Pozbywszy się tego nieprzyjemnego uczucia, Tim podszedł do włazu i otworzył go. Pod nim rozpościerała się świeża i radosna ziemia. Strzępy chmur, jak kłaczki brudnego dymu, przelatywały koło włazu, zakrywając niekiedy jaskrawozielone pola oświetlone słońcem.

Bagrecow podpełzł do otworu i chciwie wdychał powietrze nasycone ozonem. Tutaj, w przestworzach, czuło się zapach ozonu wyjątkowa wyraźnie.

„Teraz na ziemi — myślał — specjaliści badają wskaźniki składu powietrza, przekazane przez radio latającego laboratorium meteorologicznego, przed i po burzy. Jest to na pewno bardzo ważne. Lecz jakże się zdziwią, gdy opowiem im swoje wrażenia ze spotkania z błyskawicą. Była zupełnie różowa”...

Wadim przesunął rękę po umocowanej obok włazu pokrywie z przezroczystej masy plastycznej. Wewnątrz znajdował się bęben z cienką stalową linką.

„Jeszcze jedna zagadka techniki — pomyślał Dim. — Czyżby ta linka miała służyć do zrzucania przy lądowaniu, jak powróż konopny z balonu? Ale przecież tutaj nie ma nikogo, kto mógłby zrzucić tę linkę w dół. Czyżby więc także automatycznie?”.

Obejrzawszy bęben ze wszystkich stron Bagrecow doszedł do wniosku, że ma przed sobą zwykłą dźwigownicę. Nawet zęby z zapadką. Lina zostaje zwolniona automatycznie za pomocą przekaźnika, który był widoczny poprzez przezroczystą pokrywę. Z przekaźnika do kabiny biegły przewody elektryczne. „Tam są przypuszczalnie przyrządy kierujące tą dźwigownicą — myślał Bagrecow. — Na określonej wysokości radiowysokościomierz włącza przekaźnik, który zwalnia koło zębate dźwigownicy. Pod wpływem ciężarka, przywiązanego do końca liny, opada ona w dół i ludzie na miejscu lądowania laboratorium chwytają linkę i przyciągają sterowiec do ziemi”.

Wszystkie te przypuszczenia wydawały się Bagrecowowi jednak niezupełnie przekonujące. A jeśli kaprysy prądów powietrznych zanoszą latające laboratorium w głąb tajgi lub pustynnych stepów? Co się wtedy stanie? Może się zdarzyć, że lina będzie się wlokła po ziemi zahaczając o drzewa, trawę i

krzewy, aż w końcu zaczepi o coś. W tym wypadku przekaźnik włączy się automatycznie, w górnej części powłoki otworzy się wentyl, gaz ulotni się i sterowiec miękko osiadzie na ziemi.

— Rekord wysokości

„Byleby prędzej i w odpowiednim miejscu” — mimo woli myślał Dim Zupełnie nie nęciła go możliwość wylądowania w Kara-Kumach czy nawet w stepach Powoźza.

Dim długo oglądał dźwigownicę, wreszcie machnął ręką i przeszedł do centralnej kabiny. Było to serce latającego laboratorium. Małe żaróweczka, którą wczoraj wieczorem odłączyli od akumulatora, dawała nie więcej światła niż świeca. Jej żółte światło połyskiwało słabo na metalowych rurkach biegnących od sufitu. Rurki te doprowadzone były do skrzynek z licznymi przyrządami, których Wadim wczoraj nie zauważył. Zaczął dokładnie oglądać urządzenia, zapisując w zeszycie swoje uwagi. Wszystko, co widział w tym latającym laboratorium, zadziwiało go swoją lekkością i bardzo małym ciężarem. Widocznie cała konstrukcja była wykonana z bardzo lekkich stopów manganowych. Mało tego, celem zmniejszenia ciężaru wywiercono dziurki w cienkiej jak karton konstrukcji.

Teraz dopiero Bagrecow zrozumiał, dlaczego polecono im wykonać złącza tak starannie, by na przewodach przerywacza nie pozostała ani jedna zbędna kropelka cyny.

„Może sprawdzić przy sposobności, jak pracuje przerywacz? Czy czasem znów nie odmówił posłuszeństwa?”

Teraz tyka delikatnie jak zegarek. Trzeba posłuchać”.

Bagrecow postanowił włączyć odbiornik. Gdy jednak dotknął dźwigienki przełącznika, spostrzegł, że jest już włączony.

Nałożył słuchawki. Milczenie. Odbiornik pracował przez noc. Widocznie akumulator rozładował się. Żarówka, którą

Babkin odłączył wczoraj do zapasowego akumulatora, żarzyła się ledwo dostrzegalnie. Jak sprawdzić pracę przerywacza?

Młody technik był uparty. Doświadczonym spojrzeniem obrzucił ustawione piętrowo akumulatory zasilające radiostację oraz inne urządzenia laboratorium: „Można by przecież przyłączyć odbiornik do tych kontaktów” — myślał studiując rozmieszczenie przewodów.

Wyjął z kieszeni płaskie obcęgi oraz zwój przewodów i zajął się pracą.

Wkrótce wszystko było gotowe. Żarówka jasno oświetliła skalę odbiornika, a w słuchawce, leżącej na podłodze, dały się słyszeć charakterystyczne, przerywane, automatycznie nadawane sygnały. Bagrecow chwycił słuchawki, nałożył je na uszy i ocierając pot, który ze zdenerwowania wystąpił mu na czoło, słuchał uważnie.

Szczyśliwym zbiegiem okoliczności udało mu się zakończyć swoją pracę właśnie w tym momencie, gdy radiostacja kierowana mechanizmem zegarowym rozpoczęła swoją kolejną audycję. Dim słyszał znane mu sygnały przekazujące kierunek wiatru i temperaturę, po czym usłyszał niezrozumiałe sygnały: to pracowały jakieś nowe przyrządy. W końcu włączył się przerywacz wykonany w laboratorium nr 9. Działał doskonale, na o lepiej od wszystkich przyrządów zainstalowanych w latającym ku.

Bagrecow chciał silniej przykręcić nakrętkę w kontakcie, do którego łączył przewód odbiornika, lecz przewód odłamał się i trzeba było podłączyć go na nowo.

Nagle wyśliznęła się spod niego końcówka żółtego kabla, prowadzącego dokądś w głąb kabiny. Gdzieś nad głową dał się słyszeć trzask.

Dim w mgnieniu oka chwycił kabel i drżącymi rękami starał się podsunąć jego koniec pod nakrętkę. Ze zdenerwowania nie udawało mu się to. kontaktu wydobywały się z trzaskiem iskry.

Wadim pokonał opanowujące go zdenerwowanie i przykręcił nakrętkę. Szum ustał. W słuchawkach wiszących na szyi nieostrożnego technika dały się słyszeć rytmiczne sygnały, przypominające dźwięczne krople uderzające o szkło. To znaczy, że nic się nie zepsuło. Wszystko działa normalnie.

Pomyślał, że latające laboratorium ominęła teraz nowa, nieoczekiwana przykrość, która jak obłok przemknęła obok niego.

Spokojnie wyłączył odbiornik, zdjął słuchawki i wprawnymi ruchami zwinął sznur. Wtedy dopiero poczuł nieprzyjemną słabość, ogarniającą falami całe ciało.

Starając się ją przemóc, podszedł do tablicy rozdzielczej, posłuchał monotonnego tykania przekaźników i mechanizmów zegarowych, następnie nie wiadomo po co zajrzał pod kaptur urządzenia prostowniczego i nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie, zauważył niebieskawe światło przedostające się skądś z dołu, spośród skrzynek z aparaturą.

Nachylił się, boleśnie uderzając głową o tablicę rozdzielczą. Na prost niego widniało okrągłe okieneczko z grubym szkłem, przypominającym okienko w skafandrze nurka.

Lecz cóż to? W dole kołysały się fale i przybliżyły się stopniowo. Już można było rozróżnić ich pokryte pianą grzebienie.

Bagrecow poczuł, że podłoga ucieka mu spod nóg. Latający dysk opadał gwałtownie. Czyżby nieostrożnie wyłączył przekaźnik wentyla wypuszczającego gaz? To być nie może! Przecież przewód przyłączył wtedy prawidłowo...

— Dimka, prędzej! — usłyszał głos Babkina.

Bagrecow rzucił się w stronę włazu. Tam uczepiwszy się poręczy drabiny stał Timofiej pochylony całym ciałem naprzód.

Zdawało się, że przygotowuje się do skoku. Odległość od wody wynosiła nie więcej niż dziesięć metrów.

7. NA POŁUDNIE OD PRZYŁĄDKA FOROS

Na ziemi uważnie śledzono lot latającego dysku. Próby odbywały się normalnie. Konstruktor Pojarkow zdenerwował się jednak ogromnie, gdy pióro, kreślące na bębnie krzywe analizy powietrza, zatrzymało się nagle. Dobrze, że inne przyrządy działały, co uspokoiło tak Pojarkowa, jak i wszystkich innych uczestników badań. Widocznie dysk znajduje się w powietrzu, a tylko analizator doznał jakiegoś uszkodzenia.

Ponieważ nie nadeszła jeszcze godzina nadawania nowego radiogramu przez latające laboratorium, pracownicy instytutu starali się w jakiś sposób zapełnić płynący powoli czas oczekiwania.

Deriabin nachmurzony siedział na krześle, starając się odgadnąć przyczynę uszkodzenia analizatora. Konstruktor patrzył w okno i cicho bębnił palcami po szkle. Ania ze skupieniem obierała pomarańczę.

Za drzwiami dały się słyszeć ciężkie kroki. Wszedł Demidow i utkwiał wzrok w Deriabinie. Ten, jak gdyby poczuł jego spojrzenie, otworzył oczy i szybko podniósł się z miejsca.

Zadzwieczał dzwonek telefonu.

— Aleksjeju Fomiczu, wzywa was Moskwa — rzekła Ania podając Demidowowi słuchawkę i jednocześnie starając się przykryć papierem obraną pomarańczę.

— Dziękuję — Demidow wziął słuchawkę. -- Próby? Na razie pomyślnie. Bez wątpienia. Dam znać, jak tylko laboratorium osiągnie stratosferę... Nie, nie ma żadnej obawy.

Po skończeniu rozmowy telefonicznej Demidow odciągnął Borysa Zacharowicza na bok i rzekł:

— Proszę dublować na błonie zapisy analizatora powietrza. Będzie to miało szczególne znaczenie poza obrębem stratosfery.

— Dobrze — zdołał jedynie odpowiedzieć inżynier. Miał nadzieję, że przyrząd, który był niejednokrotnie wypróbowywany, zepsuł się przypadkowo w czasie burzy i ponownie zacznie działać. W przeciwnym razie... Nie, nawet nie chciał myśleć o tym. Wiedział, jak ogromne znaczenie ma przyrząd dla badań atmosfery.

— Ile waży analizator? — nieoczekiwanie zapytał Pojarkow odwracając się plecami do okna. Szukał przyczyny, która spowodowała, że latający dysk okazał się mimo wszystko cięższy, niż przewidywano. Czyż miałby nie osiągnąć żądanej wysokości?

Dwaj inżynierowie stali naprzeciw siebie i każdy z nich myślał o swoim niepowodzeniu. Niepowodzenia te były różne, a jednocześnie wspólne — nie tylko dla inżynierów, którzy skonstruowali latające laboratorium. Od tego, czy udadzą się badania, zależało bardzo wiele, lecz mało było takich, którzy wiedzieli, po co został zbudowany ten dziwny dysk. Profesor Demidow nie zajmował się meteorologią i pogoda, jak już mówiliśmy, nie interesowała go zupełnie.

...Ania zaczekała, aż profesor wyjdzie, i wykorzystując przerwę w nadawaniu sygnałów, podeszła do laboranta, którego posłano na poszukiwanie moskiewskich techników. Laborant

właśnie wrócił i czekał, by oznajmić Deriabinowi o rezultatach swoich powtórnych poszukiwań. Na pytanie Ani tylko rozłożył ręce.

Niesprecyzowane podejrzania zaczęły stopniowo opanowywać dziewczynę. Przypomniała sobie pełne zachwyty opowiadanie Bagrecowa o niezwykłych podróżach, o romantyczności poszukiwań, o stacji meteorologicznej w górach Tiań-Szań. Taki chłopak może ważyć się na wszystko, ażeby doznać „uczucia niepewności”, jak sam mówił. Lecz drugi wydawał się skromny, poważny i spokojny. Jak mógł zdecydować się na to?

— Borysie Zacharowiczu! — Ania nieśmiało dotknęła rękawa inżyniera zagłębionego w badaniu krzywych analizatora. — Techników, pomimo wszystko, nie znaleziono. Zdaje mi się, że oni są... tam...

— Gdzie, tam? — z rozdrażnieniem zapytał inżynier. — Do końca.

Ania stała zmieszana i niepewna. Deriabina ogarnął wstyd z powodu niestosownego wybuchu. Był przekonany, że ci chłopcy nie mogli zrobić takiego kawału.

— Proszę wezwać do mnie dyżurnego poligonu — zarządził. — Trzeba przecież wyjaśnić wreszcie, gdzie się oni podzieli.

Jak spod ziemi wyrósł przed nim wysoki, młody człowiek w półwojskowym ubraniu.

— Jestem, towarzyszu naczelniku.

— Proszę niezwłocznie znaleźć techników, którzy wczoraj przyjechali. Przeszukajcie cały poligon. Wszystkie budynki, hangary, składy... Poślijcie żołnierzy, niech sprawdzą ogrodzenie. Może wyszli gdzieś w innym miejscu, a nie przez portiernię.

— Cóż wy mówicie, towarzyszu naczelniku — z uśmiechem zaoponował dyżurny. — Są przecież wartownicy.

— Wiem o tym, lecz lepiej przypuszczać rzeczy najbardziej niewiarogodne, na przykład, że wartownik zasnął i technicy przeszli niezauważeni, niż myśleć jakieś głupstwa — dorzucił obrzucając Anię gniewnym spojrzeniem.

Dyżurny znikł w oka mgnieniu.

Inżynier znużonym krokiem podszedł do stołu i osunął się na krzesło. „To dopiero historia! — myślał. — Czyżby ta dziewczyna miała rację? Ale w jaki sposób przeszliżnęli się do kabiny? Przecież przed samym odlotem byłem w niej i sprawdzałem przyrządy. A chłopcy powinni byli opuścić poligon wcześniej. Przypominam sobie, jak oznajmili mi, że wszystko gotowe. Po cóż więc mieliby zostać? A najważniejsze, że technicy nie mogli wiedzieć o tym, iż stacja meteorologiczna wzniesie się w powietrze... Może poinformować Aleksjeja Fomicza i wstrzymać badania? Tym bardziej że analizator nie działa“.

Borys Zacharowicz wstał powoli i z uczuciem, że ma jakieś obce, ciężkie nogi podszedł do stołu namiarowego.

— Współrzędne — zapytał dyżurnego.

Dyżurny pokazał mu mapę. Ostatni punkt przecięcia się dwóch linii namiaru radiowego leżał gdzieś niedaleko Chersonu.

— Kiedy teraz przyjmiecie namiar? — zapytał inżynier.

— O godzinie trzynastej dwadzieścia.

Do tego czasu, to jest niemal przez całą godzinę, radiostacja latającego laboratorium nie powinna była włączać się. Automataczne stacje radiometeorologiczne są obliczone na krótkotrwałe działanie w ciągu doby. Specjalny mechanizm włącza okresowo radiostację na kilka minut, zwykle cztery razy w ciągu doby, po czym ponownie wyłącza. Gdyby urządzenie działało cały czas, wówczas akumulatory rozładowałyby się w ciągu kilku dni, zamiast działać przez długie miesiące.

Borys Zacharowicz dobrze wiedział o tym wszystkim. Było mu nieprzyjemnie, że latające laboratorium nie osiągnęło przewidzianej wysokości, ale przy pierwszych próbach wszystko mogło się zdarzyć. Właściwie nawet nie było w tym nic dziwnego. Lecz nie o tym rozmyślał inżynier. Wiedział, że aparatura, którą zamówił i zmontował, działa bez zarzutu i precyzyjnie. Zawiódł tylko analizator.

— Towarzyszu naczelniku — przerwał mu rozmyślania dyżurny, który wszedł do pokoju. — Raz jeszcze wszystko przeszkaliśmy...

— No i co? — przerwał Deriabin. — Natrafiliście na jakiegokolwiek ślady?

— Nie, ale — zawahał się dyżurny oglądając się na żołnierza stojącego za drzwiami. — Prichodźko, wejdź tutaj.

Szczupły chłopak w pilotce nieśmiało podszedł do stołu. W jego rękach kołysały się na sznurowadłach spiczaste, żółte buciuki.

— Cóż to takiego? — ze zdziwieniem zapytał inżynier.

— Gdzie je znaleźliście? — wtrąciła zaniepokojona Ania.

— Na polu — czerwieniąc się odpowiedział żołnierz, napotkawszy spojrzenie radiotelegrafistki. — Obok poligonu — dorzucił. Jeden leżał na miedzy, a drugi tuż obok.

— Borysie Zacharowiczu — zwróciła się Ania do Deriabina starając się ukryć swoje zakłopotanie. — Nic nie rozumiem. Te buty nosił technik, którego szukacie... Ten, wiecie, który był niższy i poważniejszy...

— Przede wszystkim przypatrzyliście się butom? — drwiąco zauważył inżynier. — Co za nadzwyczajna spostrzegawczość. A jak sądzą, oprócz tego „poważniejszego” technika z Moskwy, nikt już takich nie może nosić?...

— Nie, nie — szybko rzekła Ania bojąc się, że jej nie uwierzą. — Nie mogłam nie zauważyć tych śmiesznych butów... Dobrze pamiętam... Nawet rysę na szpicu...

— Rozumiem, rozumiem — przerwał jej Deriabin. — Wierzę. W takim razie rzeczywiście można przypuszczać, że te zuchy z jakiegoś, im tylko wiadomego, powodu postanowiły przeleźć przez płot, zdjawszy uprzednio buty, przy czym jeden z tych miłośników przygód zgubił je w pośpiechu. To znaczy — dodał z naciskiem — że ci młodzi ludzie nie są na pokładzie latającego laboratorium...

Inżynier zamyślił się, spojrzął na buty, znużony machnął ręką i rzekł do dyżurnego:

— Zbadajcie całą tę sprawę. Dowiedzcie się, kto owej nocy stał na posterunku, przesłuchajcie rozprowadzającego warty. Zadzwońcie do Moskwy, może te zuchy wróciły już do instytutu.

Spojrzął na zegarek i znów podszedł do przyrządów. Teraz powinna się zacząć kolejna audycja. Na początku prób urządzenie powinno działać włączając się co godzina.

Zabłyśta żarówka kontrolna: to włączył się automatycznie odbiornik. Zawirowały bębny z papierowymi taśmami, na których za chwilę zapiszą swe spostrzeżenia automaty zainstalowane w latającym laboratorium. Na razie pióra zostawiały na taśmach długi, równy ślad.

Pojarkow podszedł do radiotelegrafisty dyżurującego za stołem namiarów.

— Gdzie jest teraz laboratorium?

Dyżurny wstał i bez słowa wskazał ołówkiem na mapę. Zatemperowany koniec ołówka spoczął na morzu, na południe od przylądka Foros.

— Jak myślicie, Borysie Zacharowiczu — zwrócił się konstruktor do Deriabina. — Czy teraz nie byłoby wygodniej przeprowadzić próby według siódmego punktu programu?

— Nie boicie się? — z uśmiechem zapytał Deriabin. — A co będzie, jeżeli nagle coś się zdarzy, zanim nastąpią zasadnicze próby na znacznych wysokościach?

— Nie — twardo odpowiedział Pojarkow. — W tym wypadku polegam na was w zupełności.

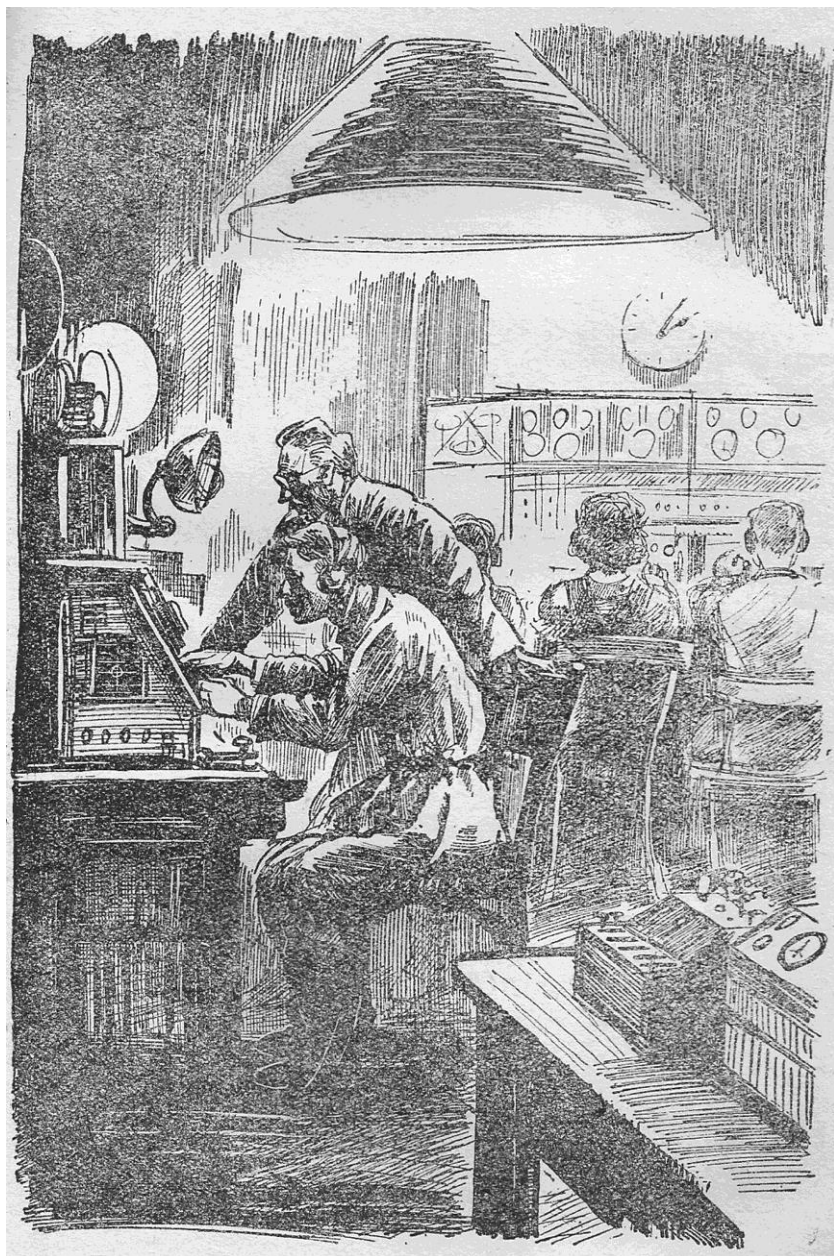
Deriabin zwlekał trochę, po czym pytająco spojrzął na konstruktora.

— No cóż, zaczniemy. Zaraz poproszę Aleksieja Fomicza.

8. „DOKĄD LECIMY ?“

Babkin spostrzegł morze znacznie wcześniej niż Bagrecow. Widok fal nie był dla niego niespodzianką. Wiedział, że silny północno-zachodni wiatr wkrótce zanieśe latające laboratorium nad morze. Nie miał wprawdzie kompasu, lecz cień latającego dysku przecinał cienie drzew i słupów, a porównując ich kierunek oraz śledząc ruch cienia laboratorium Babkin łatwo określił, że żegluje ono na południowy zachód. Czekał, że wkrótce ukaże się morze, lecz Dimce nic o tym nie mówił. Kto wie, co się może zdarzyć ? **Może** nagle zmieni się wiatr. Po co na próżno niepokoić przyjaciela...

Lecz wiatr nie zmienił się.



*Zabłyła żarówka kontrolna: to odbiornik włączył się auto-
atycznie*

Promienie słońca padały prostopadle na ziemię. Cień stał się już niemal okrągły. Pędził po stepie, starając się za wszelką cenę prześcignąć jastrzębia latającego tuż nad ziemią, samochodu na drogach i cienie przepływających obok obłoków. Natrafiając na jary i wąwozy cień kurczył się, przekręcał się jakoś nieoczekiwanie i znowu wypływał na otwartą przestrzeń.

Wygiąwszy grzbiet, jak czarny kot, przemykał się przez krzaki, domy, płoty i pędził w kierunku morza.

Ukazała się cienka, koronkowa falbanka — pienista linia przypływu. Cień przeciął ją, jak gdyby rozerwał na dwoje. I już nie cień, lecz gigantyczna batisfera prześlizguje się pod wodą. Morze wygląda jak granatowy papier porysowany kredą. Wydaje się, że ktoś wypisuje na nim wzory, cyfry i białe przecinki.

Timofiejowi wydało się, że jakaś cyfra podobna do trójki uleciała w górę. To mewa prześliznęła się nad wodą. O, jeszcze jedna mewa... Jeszcze i jeszcze...

Białoskrzydłe ptaki wznoszą się wyżej i wyżej. Wydaje się, że krążą, pod samym wjazem laboratorium, stają się duże, pierzaste, podobne do spienionych grzebieni fal.

Timofiej przetarł oczy. Co za bzdury! Czyżby mu się to wszystko zdawało?

Już nie fantastyczne ptaki, ale fale, prawdziwe fale wznosiły się tuż pod wjazem stratostatu. Teraz dopiero Babkin poczuł, że latające laboratorium szybko spada: doznał uczucia, że jedzie powoli opuszczającą się windą.

W pierwszej chwili Timofiej spieszył się. Co robić? Fale wędrują się przez wjazd, kabina napełni się wodą i całe laboratorium pójdzie na dno.

Może lepiej zamknąć wjazd? Nie! Lekka konstrukcja nie wytrzyma uderzeń fal, które pogną ją i połamią...

Do brzegu daleko, któż może uratować to niezwykle laboratorium, odbywające swój pierwszy lot? Timofiej nie myślał o sobie. Gotów był skoczyć do morza, żeby tylko uwolnione od zbędnego ciężaru laboratorium uniosło się do góry i prędzej czy później doleciało do brzegu. Ale Dimka? Czy można go zostawić samego?

Laboratorium powoli opadało. Timofiej mógł już rozróżnić pękające pęcherzyki powietrza na zielonkawej wodzie. Nie wolno tracić ani sekundy czasu.

Babkin krzyknął. Nieswoim głosem zawołał towarzysza. Dim natychmiast znalazł się obok niego. Nieruchomymi, szklanymi oczami spoglądał w otwór włazu.

— Skacz, Dimka, skacz — powtarzał Timofiej. — Ja za tobą. Może dopłyniemy.

Lecz Wadim jak gdyby nic nie rozumiał. Patrzył w dół i zdawało się, że nic nie słyszy.

— Dimka, zrozum — krzyczał Babkin — jeżeli nie wyskoczmy, fale rozbiją wszystko. Skacz, mówię ci!

— Nie mogę... Nie mogę — jak w malignie szeptał Bagrecow. — Nie umiem pływać! — wykrzyknął z rozpaczą. — Czego ty chcesz ode mnie?

Rzucił się w głąb kabiny i zniknął w ciemnościach.

Babkin nie mógł wymówić ani słowa. Jak mógł zapomnieć o tym, że Dim nie umie pływać? Gdyby przypomniał sobie o tym wcześniej, kiedy tylko poczuł opadanie latającego laboratorium, wymyśliłby coś innego. A teraz już za późno...

Lecz co to?...

Nagle Tim poczuł, że latający dysk jak gdyby na chwilę zatrzymał się w powietrzu i szybko wzniósł się do góry. Babkin spojrzał w otwór włazu i spostrzegł oddalające się pienne fale. Rozpływały się na wodzie, stawały się coraz mniejsze.

Babkin podniósł głowę i zobaczył Wadima. Stał przyciskając do siebie ciężką skrzynkę akumulatora i ze zdumieniem patrzył w dół na oddalającą się powierzchnię morza.

— Nic nie rozumiem... — powiedział z niezadowoleniem, stawiając akumulator na podłodze. — Chciałem wyrzucić balast, a tymczasem...

Wyjaśnił, że postanowił wyrzucić z kabiny kilka ciężkich akumulatorów, które były połączone równolegle z głównym zespołem.

Nie powinno to było wpłynąć na działanie radiostacji i innych mechanizmów, jeśli nie brać pod uwagę skróconego czasu działania laboratorium. Od razu, po przyłączeniu odbiornika do akumulatora, rzuciło się to w oczy.

Babkin pozbył się nieprzyjemnego uczucia grożącego im niebezpieczeństwa. Starał się wyjaśnić, dlaczego tak nieoczekiwanie opadli i szybko wznieśli się do góry, lecz nie potrafił dać sobie odpowiedzi na to pytanie.

Teras był spokojny. Opanowywała go cicha radość. „Zuch Dimka! — myślał spoglądając z ukosa na towarzysza. — Ma głowę na karku! Mądrze wymyślił z tym wyrzuceniem balastu. Gdyby nie ten niespodziewany wzlot, trzeba byłoby skorzystać z pomysłowości Dimki. Nie warto być pokarmem dla ryb. Ale to jednak dobrze, że akumulatory nie zostały wyrzucone. Przecież to cudza własność, nawet nie ich instytutu. To nie budki, których teraz wcale nie żałuje“.

Myśląc o tym, co stałoby się, gdyby wyrzucili akumulator, Babkin rzekł ponuro:

— Odnieś go z powrotem. Czego stoisz? A sprawdziłeś, czy radiostacja działa?

— Oczywiście. Od razu połączyłem wszystko, jak należy.

— Przerywacz także?

— Tak.

— A może była przerwa w działaniu. Zapisz, kiedy odłączyłeś akumulator. Na ziemi niepokoją się...

— Nie, w tym czasie radiostacja była wyłączona. Ciekawe, jak to wszystko funkcjonuje... — ciągnął Wadim siadając obok towarzysza. — Na dole przy odbiorniku siedzi Ania... Słucha audycji, w której mówi się tylko o pogodzie. A my nie możemy nawet zmienić tematu rozmowy. Jeżeli zdołałbym dostać się do radiostacji, to posłałbym Ani radiogram...

— Wtedy zmusiłbym cię do wyskoczenia przez właz — przerwał Timofiej.

— Dlaczego? — ze zdziwieniem zapytał niewinnie Dim.

— Dlatego że nie wolno przeszkadzać w czasie prób. Dziwny jesteś. Przecież gdyby próby nie udawały się, to zaraz wysłano by za tym laboratorium samolot i przyholowano by je. Widocznie wszystko odbywa się normalnie. A teraz wyobraź sobie: z twojego głupiego radiogramu dowiedzą się na poligonie, że jesteście tutaj. Naturalnie przestraszą się o nas i sprowadzą laboratorium na ziemię.

— A ty nie chciałbyś, żeby tak się stało? — z uśmiechem zapytał Dim.

— A ty?

Bagrecow zawahał się. Właściwie lot ten trudno byłoby nazwać przyjemnym, zwłaszcza wtedy, kiedy latający dysk zaczął opadać na morze. Rozumiał jednak, jak poważne były, jak wielką wagę posiadały pierwsze próby latającego laboratorium. Wiedział, że wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności powodzenie tych prób w znacznej mierze zależy teraz od niego i Babkina. Czy oni, ludzie, którzy nie powinni się tutaj znajdować, nie przeszkodzą spokojnemu i precyzyjnemu działaniu automatów?

Trzeba postąpić tak, żeby tam, na dole, nikt się nie domyślił nawet ich obecności. Tim rzeczywiście ma rację.

Morze zasnuwane było niebieskawą mgłą, w której rozplynął się już cień stratostatu. Dokąd, do jakich krajów wiatr pędzi statek powietrzny? Może wkrótce wyjdą mu na spotkanie obce brzegi?

Dim spojrzał na Babkina, który wygodnie usadowił się na drabince. Wybrał sobie to miejsce jako punkt obserwacyjny i patrzył w dół.

Bagrecow chciał porozmawiać z towarzyszem, ale ten zawsze był małomówny, a teraz zamknął się zupełnie w sobie. Wadim poczuł się samotny i opuszczony.

Wyjął swój zeszyt — pamiętnik, gdzie już na kilku stroniczkach zapisane były wyniki obserwacji mechanizmów latającego laboratorium, i kartkując strony, zatrzymał się na jednej z nich.

„Mogą mnie nazywać marzycielem — czytał w dzienniku — ale jak nie marzyć o tym, co będzie jutro?... O jutrzejszych zdobyczach techniki? Lecz to nie jest najważniejsze. Jacy będą ludzie po upływie kilkudziesięciu lat? Jakim człowiekiem będzie mechanik, który zastąpi mnie, Wadima Bagrecowa, przy stole montażowym w laboratorium? (Jestem przekonany, że stół montażowy pozostanie, ponieważ w erze komunizmu będzie jeszcze więcej instytutów naukowych i tym samym będziemy konstruować jeszcze więcej przyrządów doświadczalnych). Chciałbym być podobny do tego właśnie bezimiennego technika, który zajmie moje miejsce. Często kontrolowałem sam siebie. „A jak by on postąpił?” Wyobrażam sobie, że ma tak samo jak ja osiemnaście lat. Gdy myślę o jego charakterze, mimo woli przychodzą mi na myśl tacy komsomolcy, jak Matrosów, Czekalin, Kosze-woj. Tylko do nich może on być podobny. Chciałbym w nim również widzieć cechy ludzi pracujących w instytucie: inżyniera-majora

Nikonowa, sekretarza komsomolskiej organizacji Sjergiejewa i coś niecoś z Timki Babkina. Wydaje mi się, że on (nazwiemy go po prostu „Karpow”) patrzy na mnie z daleka i ocenia każdy mój postępek, każdy mój krok, jak gdyby sprawdzając, jak dalece dzisiejszy Bagrecow przypomina człowieka jutra. Wiem, że nie łatwo jest upodobnić się do niego. W wielu wypadkach trzeba się powstrzymywać, uważać na siebie, umieć znosić niepowodzenia, ale jestem przekonany, że inaczej nie można żyć...”

Wadim potrząsnął głową. Z zeszytu wyleciał ołówek i zniknął w niebieskawej mgle.

Babkin spojrzał pytająco na towarzysza. Chciał mu coś powiedzieć, lecz wahał się, nie wiedząc, jak przyjmie jego słowa.

— Północny wiatr — rzekł w końcu wskazując w dół.

Bagrecow pochylił głowę nad włazem. Wpatrzywszy się w dół, nie mógł rozróżnić wzniesienia fal oświetlonych zachodzącym słońcem. Silny wiatr pędził stratostat na południe. Odblask słońca na falach wyraźnie wskazywał kierunek lotu.

— Jak myślisz, dokąd lecimy? — Bagrecow postanowił sprawdzić swoje podejrzenia.

— Do Turków... — burknął Babkin.

— No i co będzie dalej? — zapytał Dim, lekko zdetonowany.

— Nie wiem, prawdopodobnie duże nieprzyjemności — odpowiedział Timofiej nie podnosząc głowy. — A wszystko przez nas...

Dim wzdrygnął się mimo woli i spojrzał w dół. Morze wydawało się ciemnofioletowe jak atrament. Na jego powierzchni nie można było już rozróżnić nic, oprócz błyszczącej, czerwono-miedzianej, biegnącej na zachód smugi — odblasku gasnącego słońca.

Wadimowi wydawało się, że statek powietrzny już przeciął ją. Jak południk.

9. STATEK ZMIENIA KURS

— Tim, hej, Tim — usłyszał Babkin po raz nie wiadomo który w czasie swojej podróży znajomy okrzyk.

— No? — odpowiedział lakonicznie, jak zwykle.

— Ile godzin możesz utrzymać się na wodzie ? — niespodziewanie zapytał Wadim.

— Nie wiem, nie liczyłem — leniwie odpowiedział Babkin.
— A o co chodzi ?

Bagrecow nie odpowiedział. Szukał bezustannie sposobu wyjścia z kłopotliwej sytuacji i złościł się na siebie, że nie umie pływać. Od razu pójdzie na dno jak kawał żelaza... Może ze skrzynek od akumulatorów zrobić pływaki? Ale ze skrzynek bardzo trudno wyciągnąć płyty. Albo może wziąć skrzynki po przyrządach? Też na nic: za dużo w nich dziurek. Czyż mają tak siedzieć bezradnie i czekać, aż ten latający placek sam opadnie na jakieś anatolijskie ogrody... Nie, do tego nie mogliby dopuścić inżynierowie, którzy budowali laboratorium. Powinni byli wszystko przewidzieć. Stworzyli przecież konstrukcję tak trwałą, że wytrzymała lot w burzowej chmurze.

Więc co robić?

Bagrecowowi wydawało się, że nie ma wyjścia. Starał się wszelkimi siłami nie myśleć o kłopotliwej sytuacji. To nic nie daje i człowiek tylko się męczy. Już lepiej znowu znaleźć się w chmurze burzowej i z nią powrócić w te same okolice, skąd wystartowali.

„Co za błyskawica!“ — Dim przypomniał sobie znowu oślepiającą, jak gdyby rozpaloną do białości smugę, która przemknęła obok włazu. A jednak pomimo olbrzymiej wielkości tej iskry, jej energia jest znikoma w porównaniu z energią nieznaną, maleńkich cząsteczek mknących do nas z przestrzeni wszechświata. Cząsteczki, te docierają wszędzie poprzez powietrze i wodę. Nawet pod ziemią odnajdujemy ich ślady. Jest to energia potężniejsza od promieni „gamma” przenikających metal. Gdyby atmosfera nie zatrzymywała tych niewidocznych cząstek, to wszystko na ziemi przekształciłoby się w parę. To nie to, co nędzna błyskawica!

I marzyciel Dim ujrzał przed oczyma wyobraźni niezwykle świat. Ludzie zbadali już istotę tych cząstek i opanowali tajemnicę energii atomowej. Był to początek wspaniałych przemian materii.

— Tim! — zawołał Babkina. — Wyobraź sobie zdumiewający świat...

— A co mnie to obchodzi! — mruknął Babkin. — Lepiej znaleźć się w swojej wodzie niż na cudzej ziemi.

— Ależ ja nie mówię o tej ziemi! Wyobraź sobie, że najbardziej trwałym jądrem atomu jest jądro srebra. Liczne substancje, po uwolnieniu ich energii atomowej, można będzie przekształcić w ten metal.

— No i co z tego? — zapytał Timofiej z zainteresowaniem.

— A więc wyobraź sobie, że zewsząd otaczać nas będzie srebro. Srebrne chodniki, dachy, odzież z cienkich srebrnych nici... Meble i ramy okienne, ławeczki ogrodowe, ogrodzenia...

— Rozumiem, nie musisz mówić dalej. Niezbyt mi się podoba ten twój srebrny świat, ale...

Silny wstrząs i nagły obrót laboratorium przerwały słowa Babkina. Zatoczył się i ledwo utrzymując się na nogach, usiadł na podłodze.

Dał się słyszeć świst powietrza włączanego do dyszy. Coś zahuczało, zawyło. Przez otwarty właz wdarł się wiatr, rozczochrał włosy oszołomionego tą niespodzianką Dima, porwał rozłożoną na podłodze marynarkę Babkina i rzucił ją w głąb kabiny.

Gdy Timofiej spojrział w dół, zobaczył, że latający dysk pędzi po ciemniejącej słonecznej drodze prosto na wschód.

— Odrzutowy! — z radością wyszeptał Babkin. — Na pewno!

I sterowany — dorzucił Dim wymachując z zachwytem ręką. Szum ustał tak samo nagle, jak się zaczął.

Widocznie, jak przypuszczał Bagrecow, człowiek sterujący z ziemi lotem stratostatu uznał, że czas już wyłączyć silnik odrzutowy, aby latające laboratorium mogło wylądować na swoim terytorium.

— A może to tylko automat? — powiedział Babkin z niedowierzaniem, słuchając szumu wiatru we włazie. — Przed lotem obliczono, kiedy trzeba będzie włączyć silnik odrzutowy i mechanizm sam włączył go. Będzie leciał siłą inercji, a potem znowu...

Zamilkł, jak gdyby oczekiwał, że urządzenie raketowe znowu się włączy i chwycił dźwignię, aby nie upaść przy ponownym wstrząsie.

— Nie — rzekł po pewnym czasie z przekonaniem Bagrecow.

— Sądzę, mimo wszystko, że nasze laboratorium jest sterowane za pomocą radia. Jak można byłoby inaczej wyjaśnić jego nieoczekiwane opadanie nad morzem, a potem szybkie wznie-

sienie się? Należy przypuszczać, że tam na dole przy urządzeniu sterującym wypróbowywano zdolność manewrowania latającego dysku. Lepiej przeprowadzać próby nad morzem, bo już laboratorium przypadkowo uderzy o ziemię...

— Nowa teoria — machnął ręką Babkin.

— Właśnie. Sterowane latające laboratorium! Teraz jestem zupełnie spokojny — zaznaczył Dim. — Jeśli chcesz wiedzieć, sprawia mi nawet przyjemność to, że biorę udział w próbach odrzutowego sterowanego przez radio laboratorium... Pomyśleć tylko, że ponad dwa tysiące lat temu człowiek starał się ulecieć w powietrze na rakiemie, lecz marzenie to urzeczywistniło się dopiero w naszych czasach!

— Któż to próbował wtedy latać? — zapytał Timofiej z niedowierzaniem.

— Jakiś mandaryn chiński Wan Hu. Chciał wzlecieć na latawcach, które startowały w powietrze za pomocą rakiet. Mandaryn zbudował specjalny aparat zaopatrzony w czterdzieści siedem rakiet i wsiadł do niego. Czterdziestu siedmiu niewolników miało podpalić rakiety. Przypadkowo nastąpił wybuch i wynalazca zginął.

— Przypomnij sobie przy sposobności — ciągnął Dim — że dawniej sądzono, iż silniki rakietowe nadają się tylko do podróży międzyplanetarnych.

— Tak, dużo powieści zostało napisanych na ten temat — mruknął Babkin spoglądając w dół.

— Żaden jednak z bohaterów tych powieści, którzy mknęli rakieta na księżyc czy Marsa, nigdy nie dostałby się tam żywy.

— Dlaczego?

— Myślę, że poza obrębem atmosfery zginąłby wskutek działania promieni kosmicznych. Zauważyłeś zapewne, że w

żadnej z tych powieści nie ma nawet wzmianki o tych promieniach.

— Oczywiście! Przecież wówczas nic nie wiedziano o właściwościach promieni kosmicznych. Zresztą, jako ochronę przed nimi można ustawić ekrany z ołowiu.

— Według ostatnich danych, na wysokości stu kilometrów od ziemi odkryto za pomocą specjalnych przyrządów promienie przenikające ołowiany ekran o grubości dwunastu centymetrów.

— Ho, ho! — mimo woli wykrzyknął Babkin. — Ciężki musiałyby być taki ekran na statku międzyplanetarnym. Najważniejsze jednak, że i tak nie daje on ludziom gwarancji bezpieczeństwa.

— Rozumiesz, Tim, wydaje mi się, że to laboratorium... także...

— Co także? — nasrożył się Timofiej.

— Nie, nie — opamiętawszy się szybko, odrzekł Dim. — Ja tylko tak myślałem.

Babkin spojrział na niego z niezadowoleniem i poszedł do centralnej kabiny.

10. PRÓBA MĘSTWA

Bagrecow siedział nad otworem wjazdu i patrzył w dół. Był zupełnie spokojny. Nie czuł strachu! Po prostu jak gdyby siedział przy oknie swojego pokoju na czwartym piętrze, a nie leciał nad morzem. Skąd się wzięła u niego ta dziwna odwaga? Przecież,

gdyby taka historia zdarzyła mu się we śnie, obudziłby się obla-
ny zimnym potem...

Wadim od dzieciństwa bał się wysokości... „Zresztą, po cóż ukrywać — wspominał Wadim patrząc na ciemniejące morze — bałem się nie tylko wysokości — bałem się wielu rzeczy. Na pewno nikt z moich przyjaciół nie sądzi, że jestem nazbyt odważny. Szczególnie po wypadku, gdy pewnego razu na widok nieszkodliwego węża, wypełzającego zza krzaka, cofnąłem się z przestraczem”.

Bagrecow wzruszył ramionami, jak gdyby chcąc odegnąć od siebie to nieprzyjemne wspomnienie i w tej chwali usłyszał kroki Babkina, który wracał z centralnej kabiny.

— Przekonałem się, że analizator nie działa — surowo powiedział Timofiej. — Na pewno zepsuł się w czasie burzy.

Po krótkim wahaniu Timofiej zeszedł do studzienki wjazdu i trzymając się za ostatni szczebel drabinki, starał się zobaczyć, czy z zewnątrz latającego dysku nie ma poręczy lub stopni, które umożliwiłyby dostanie się na jego górną powierzchnię do przyrządów umieszczonych poza kabiną. Bagrecow z trwogą patrzył na towarzysza. Ogarnęła go obawa o niego. Czy on się nie boi, wierząc się na cienkiej drabince, jak cyrkowiec na trapezie.

Kontynuując swe badania Babkin ujrzał wreszcie dolną powierzchnię dysku. Świeciła bladym, odbitym światłem morza. Timofiej owi udało się namacać, a następnie zobaczyć klamry biegnące jak drabinka po pokryciu aż do brzegu dysku. Tim popatrzył w dół. Morze stało się rzeczywiście czarne, usprawiedliwiając swą nazwę, i tylko na grzbietach niedużych fal skakały światełka — migocące odblaski zachodu słońca. Wydawało się, że pierwszy poryw wiatru zgasi je jak świece.

— Spróbuję teraz dostać się na górę — powiedział Babkin. — Trzeba zobaczyć, co się tam stało.

— Timka, spadniesz! — z rozpaczą zawołał Bagrecow, widząc, że jego towarzysz ma zamiar wyleźć z włazu. Zbiegł w dół po drabinie i chwycił go za rękę.

— Czego chcesz? — zapytał ze zdziwieniem Babkin.

— Jak to czego? Nie można przecież wyłączyć bez zastanowienia na złamanie karku.

— Ja też sądzę, że dla zabezpieczenia należałoby przewiązać się sznurem.

— Sądzisz, że specjalnie go tutaj dla nas przygotowali — ponuro odpowiedział Dim. Mimo woli obejrzał się wokoło i zauważył mgliście połyskującą przezroczystą pokrywę dźwigownicy z linką. A może wykorzystać tę linkę?

— Timka, popatrz, czy na dole można dosięgnąć do linki? Rozumiesz, tam powinien być jakiś ciężar. Jak w antenie... Babkin nachylił się tak nisko, że wisiał prawie głową w dół. Rozejrzawszy się, powiedział:

— Jest ciężar, ale nie sięgnę do niego.

Wadim spojrział na zamkniętą dźwigownicę. Może znajdzie się sposób na zwolnienie linki. Prawdopodobnie podtrzymuje ją jakiś elektromagnes. O, tutaj właśnie przyłączony jest kabel. Jeżeli odłączyć go, to obwód przerwie się. Przekaznik zwolni zapadkę zębatego koła, koło zacznie się kręcić pod wpływem ciężaru i linka opuści się w dół.

Wadim wyjął z kieszeni śrubokręt i ostrożnie wykręcił śrubkę przytrzymującą kabel.

— Tim, uważaj! — krzyknął zauważywszy, że pod pokrywą coś szcęknęło i koło obróciło się trochę. Po chwili koło obróciło się szybciej i Wadim usłyszał okrzyk Tima:

— Jest!

— Ciągnij do siebie!

— Spróbuj sam złapać — odpowiedział Babkin. — Masz pas?

Wadim zdjął mocny wojskowy pas i podał go do włazu.

— Masz.

Timofiej kilkakrotnie zarzucał pas, aby zaczepić linkę sprzączką i przyciągnąć ją do siebie. W końcu po wielu próbach, pas owinął się dookoła stalowej linki i Babkin przyciągnął ją. Następnie wylazł z włazu, otarł pot z czoła i zaczął wciągać linkę do kabiny.

Była bardzo długa, blisko 100 metrowa, podobnie jak linki używane do holowania szybowców samolotem.

— Nareszcie! — westchnął z ulgą Timofiej, gdy ciężarek w kształcie gruszki, przyczepiony do linki, uderzył o brzeg włazu.

— Mocny jest twój pas? — zapytał oglądając krytycznie, jak przyszyta jest sprzączka. — Wytrzyma w razie czego?

Jeszcze raz uważnie obejrzał go, szarpnął i starannie przywiązał do stalowej linki mocnym morskim węzłem.

Nie śpiesząc się założył pas i zaciągnął go mocno. Bagrecow patrzył na Babkina niewidzącymi oczyma. Za chwilę Tim zejdzie po cienkiej drabinie i zacznie wspinać się po poziomej, chwiejnej ścianie, mając pod sobą w dole zimną pustkę. Okropność! Ile ciężkich chwil przeżyje, zanim dostanie się do umieszczonych na zewnątrz przyrządów.

Wadim zrozumiał, że analizator koniecznie trzeba naprawić. Sądząc z pojemności akumulatorów domyślał się, że lot będzie trwał wiele dni. Widział w kabinie mechanizmy zegarowe z miesięcznym naciągiem. Przerywacz, przywieziony przez nich z instytutu, był zgodnie z konstrukcyjnymi założeniami bardzo ekonomiczny, by energia zasilająca go wystarczyła na wiele dni. Nie wolno dopuścić do tego, aby choć jeden przyrząd zo-

stał uszkodzony, gdyż zostanie naruszony całokształt badań. Ale czy oni sami wytrzymają tak długi lot?

Jeżeli energii zasilającej przyrządy starczy na wiele dni lub nawet tygodni, to ludzie, lecący wraz z automatami, nie mieli przecież żywności. Ludzie, niestety, nie mogą żywić się energią elektryczną tak, jak zbudowane przez nich przyrządy. Dim patrzył na swojego przyjaciela. Babkin zwlekał, sprawdzając ciągle, czy pas jest mocno przymocowany do liny.

— Właściwie dlaczego Tim ma ryzykować? — pomyślał Bagrecow. — Dlaczego on ma wyleźć z włazu, a nie ja? Przecież ja znacznie lepiej znam budowę analizatora!

Wadim spojrzał w dół. Morze było już niewidoczne. Gęsta liłiowa mgła podpełzła do otworu włazu.

„Jak postąpiłby teraz Karpow?“ — przeleciało mu przez myśl i niespodziewanie zrobiło mu się zimno. Na to pytanie mogła być tylko jedna odpowiedź.

Wadim spojrzał na zegarek.

— Poczekaj, Tim — zatrzymał towarzysza. — Teraz włączy się znowu radiostacja. Należałoby posłuchać, może zepsuł się jeszcze jakiś przyrząd, a my tego nie zauważyliśmy. Jeżeli naprawiać, to wszystko od razu... Jak myślisz?

— No tak, słusznie — zgodził się Babkin, z westchnieniem zdjął pas, złożył go starannie obok dźwigownicy i poszedł do centralnej kabiny.

Wadim poszedł za nim, ale zaraz wrócił i szybko zapiął pas. Zwinął w krąg dziesięć metrów linki i umocował w otworze wręgi, ażeby w razie upadku zawisnął niedaleko włazu. Ależ nie, na pewno nie spadnie! Zbędne obawy.

Szybko, żeby Tim go nie zastał, Bagrecow zszedł po drabinie i spojrzał w dół. Lekki dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem.

Gdzieś daleko ledwo dostrzegalnie lśniło morze.

— Dimka... — usłyszał z daleka, jak przez warstwę waty głos Babkina.

Nie było czasu na namyślanie się. Dim spuścił nogi w dół, jak gdyby próbując, czy woda jest zimna, a lodowaty chłód podszedł mu pod samo serce. „Tchórz, nędzny tchórz! — pomyślał o sobie Dim czując, że jeszcze chwilka — a wyskoczy z powrotem ze straszego włazu. — Samochwała, samochwała!... Nieszczęsny tchórz..

Siedział zastygły w bezruchu na drabince, nie będąc w stanie oderwać oczu od otchłani. Wydawało mu się, że wszystkie jego członki są skute i że nie może poruszyć się.

„A więc taki jest Dimka Bagrecow — pomyślał o sobie z utonąłą zgrozą. — Taki w chwili próby... Znaczy to, że nie jesteś ani trochę podobny do człowieka, którego starałeś się naśladować. Młoda dziewczyna, spadochroniarka, wychodzi na skrzydło i śmiało skacze w dół. A ty, nawet przywiązany, boisz się wyleźć z kabiny”.

Gorący rumieniec wstydu oblał mu twarz i stopniowo ogarnął całe ciało, jak gdyby rozgrzewając serce i mięśnie.

Dim nagle zdecydował się. Noga, zwisająca w pustce, nie czuła już chłodu i szukała oparcia, ażeby mocno zaczepić się na zewnętrznej powierzchni stratostatu. Wadim namacał kłamrę, wygiął się jak łuk, zgrabnie wywinął się i z zewnątrz uczeplił się ręką drugiej kłamry. Jeszcze trochę i zawisnąwszy na mgnienie oka w powietrzu, stanął obydwoma nogami na zbawiennych podpórkach prowadzących, jak drabinka, po dolnej powierzchni dysku.

Wadim oglądnał się. W czarnych chmurach na widnokręgu jaśniał czerwony, cienki pas, przypominający rozpalony, ostygający pręt. W dole, w ciemności morze połyskiwało szarym blaskiem grafitu.

Chwytając się klamer nogami i rękami, wisząc całym ciałem nad przepaścią, Bagrecow wdrapywał się w górę. Niekiedy noga ześlizgiwała się i odrywała od zbawiennej podpory. W takich chwilach czuł, że serce przestaje mu bić i palce kurczowo zaciskają się na zimnym metalu, jak gdyby przymarzły do niego.

Dobrnął do brzegu dysku. Czy tam w górze są takie same klamry? Dim na mgnienie oka zawisł na brzegu. Dysk przechylił się gwałtownie, jakby chcąc przewrócić się i ześliznął się w dół, ale Dim szybko przelazł przez jego brzeg. Ujrzał rozmieszczone na całym obwodzie dysku dziwne obiektywy, podobne do olbrzymich błyszczących źrenic. Z takimi przyrządami Dim jeszcze nigdy nie zetknął się. Na czworakach, trzymając się klamer, Bagrecow dopełził do środka, gdzie sterczało podwyższenie o kształcie kopuły, z ustawionymi na nim przyrządami meteorologicznymi i kolistą anteną.

Odetchnął i rozejrzał się. Ogarnęło go uczucie radosnego wzruszenia i dumy z samego siebie. Wkrótce dopełźnie do przyrządów.

Przypląnęła skądś fala zupełnego spokoju — świadomość spełnionego obowiązku.

Ukazały się pierwsze gwiazdy. Płynęły nad głową, wirowały i opadały w dół, jak robaczki świętojańskie. Bagrecow czuł jakieś dziwne upojenie, jakiego nigdy jeszcze nie doznawał. Było to może wywołane wiatrem, morzem i wysokością.

Statek płynący w strumieniu prądu powietrznego z lekka kołysał się. Wznosił się do góry i znowu bezszelestnie ześlizgiwał się w dół, gdzie w czarnej wodzie migały blade odbicia gwiazd.

Lecz pierwsze uczucie radosnego triumfu szybko minęło. Trzeba było jednak dostać się do przyrządów. Ostrożnie, starając się nie spaść, Wadim pełził po górnej powierzchni latającego

dysku, czepiając się za szwy spawalnicze arkuszy aluminiowej blachy. W głowie mąciło mu się, a nieprzyjemne mdłości chwytają za gardło.

Nagle Bagrecow poczuł, że ktoś ciągnie go z powrotem. Zapomniał już o linie i dlatego wywarło to na nim tak silne wrażenie. Kto tu może być na dachu latającego laboratorium?

Wadim zatrzymał się, sięgnął ręką w tył i uchwycił linę. Czyżby nie sięgała dalej? W tej chwili pożałował, że nie zostawił większego zapasu. Lecz ledwo dostrzegalne drganie pasa dało mu do zrozumienia, że Babkin jest na miejscu i teraz zawiadamia go o tym.

Dim trzykrotnie szarpnął linę, potem powtórzył szarpnięcia i od razu poczuł, że lina zluźniła się. Teraz można już pełznąć dalej. Tim domyślił się i zwolnił jeszcze kilka metrów liny.

Na przodzie zabłysnęły czerwone światła sygnałów. Widocznie świeciły one dookoła dysku.

Naturalnie — światła sygnalizacyjne są rozmieszczone dookoła!

Bagrecow powoli, ostrożnie pełznął w stronę podwyższenia mieszczącego się pośrodku stratostratu. Jest już zupełnie blisko. Dim bał się wyprostować na całą wysokość. Wydawało mu się, że ten olbrzymi talerz pochylił się lekko i człowiek stojący na jego powierzchni po prostu stoczy się w dół,

W końcu dotarł do przyrządów. Przede wszystkim Dim zaczął oglądać urządzenie służące do pobierania próbek powietrza. Nie trzeba było być specjalistą, ażeby odkryć uszkodzenie w wentylu! Dziwni ludzie z tych inżynierów! Czyżby nie przypuszczali, że latający dysk może dostać się w chmurę burzową?

Wreszcie wentyl został naprawiony. Dim zaczął pełznąć z powrotem.



Nagle gdzieś po przeciwnej stronie dysku dało się słyszeć złowrogie syczenie. Ciszę przerwał ogłuszający dźwięk, podobny do szumu wodospadu. Dysk szarpnął się naprzód. Wiatr stał się od razu silny jak huragan. Zepchnął Dimkę z gładkiej powierzchni dysku i zrzucił w dół.

Bagrecow ujrzał przez chwilę gdzieś nad głową swoje nogi na tle wydostającego się z dyszy płomienia.

11. CZŁOWIEK NAD ZIEMIĄ

Starzec Soselia, przewodniczący zarządu kołchozu „Nowe Drogi”, szedł po ciemnej ulicy uśpionego osiedla. Opierał się na ramieniu jednego ze swoich gości, niedawno przybyłego do miejscowej MTS, traktorzysty Mikołaja Gorobca..

Mikołaj Gorobiec dwa miesiące temu skierowany został wraz z innymi traktorzystami do miejscowej MTS * celem przekazania tutejszym traktorzystom swych doświadczeń. Spodobali mu się tutejsi ludzie, gorące słońce i winnice. Pogodził się nawet z niebezpiecznymi zbozami górskimi, po których nie łatwo jest prowadzić traktor. Zbliżał się jednak termin zakończenia podróży służbowej i Mikołaj spieszył z powrotem do swojej rodzinnej wioski.

** MTS — odpowiednik POM (dop. tłum.).*

Przewodniczącemu przypadł do serca sumienny i znający swój zawód traktorzysta, który przebywał u niego cały miesiąc. Dlatego też dzisiaj, w dzień pożegnania, stary Soselia wydość z piwnicy beczkę dobrego wina. Trzeba pożegnać się z gościem jak należy, tym bardziej że zrobił dużo dobrego dla kołchozu.

Noc była księżycowa. Jeszcze rozbrzmiewały wesołe i przeciągłe pieśni, jeszcze zostało dużo wina, lecz Soselia właśnie teraz postanowił pomówić z odjeżdżającym specjalistą o czymś niezmiernie ważnym i niecierpiącym zwłoki.

— Spójrz — rozpoczął rozmowę ukazując ciemne, lekko posrebrzone światłem księżycyca wierzchołki gór. — Czy są u was takie góry? — Wskazał na zarośnięte zbocze. — Czy są u was takie winogrona?

Traktorzysta milczał uprzejmie, czekając widocznie, aż Soselia wypowie się do końca.

Chuda, smągła ręka starca wyciągnęła się w stronę zabudowań owczej fermy.

— A takie baranki macie? — zapytał znowu.

— Nie mamy, Simonie Artiomowiczu, nie mamy, takich jeszcze nie widziałem — odpowiedział Mikołaj — ale bądźcie pewni, że to wszystko będzie i u nas.

— Takie baranki? — zapytał Soselia ze zdziwieniem.

— Tak jest.

— Takie winogrona?

— Mhm... Na razie założono ogród doświadczalny.

— I góry? — już z gniewem zapytał starzec.

Gorobiec spojrział na niego i już chciał przyznać się, że takich gór nie ma i zapewne nie będzie w okolicy Czernichowa, że to są najpiękniejsze góry w świecie i niech starzec nie myśli, że mu się tutaj nie podoba... Wszystko to chciał Mikołaj powiedzieć, lecz przekonanie, że nie istnieje nic takiego na świecie, czego by

u nich w Czernichowszczyźnie nie można było zrobić, skłoniło go do innej odpowiedzi.

— Jak będzie trzeba... będą i góry.

Starzec milczał. Lekki obłok przysłonił jasny sierp księżyca. Od razu ściemniło się. Gęsto zarośnięta winnica zlała się z czarną sylwetą gór, które zatraciły srebrzystą barwę i nie wydawały się takie wysokie.

Soselia długo nic nie mówił. Patrzył pod nogi i rozgrzebywał kurz laską, jak gdyby starając się znaleźć w nim odpowiedź na swoje myśli. „Oczywiście, taki traktorzysta mógłby kierować MTS przy naszym kołchozie — myślał Soselia. — Czy jednak ten człowiek zgodzi się pozostać tutaj, wśród gór, jeżeli uważa, że nawet te góry można stworzyć u niego w domu? Jeżeli człowiek jest dumny — to dobrze, a samochwał — to całkiem źle“.

Mikołaj poczuł, że jego odpowiedź nie przypadła do serca przewodniczącemu. Widocznie trochę przeholował... Może Sose-
lia źle go zrozumiał?

— Posłuchajcie, Simonie Artiomowiczu — zaczął ostrożnie, podtrzymując starca pod rękę. — Ja chciałem powiedzieć, że my, ludzie radzieccy, możemy wszystkiego dokonać... I rzeki... i góry... A po jakiego diabła nam góry w, Czernichowszczyźnie? Równiutkie pola, traktor idzie pięknie. Gdziekolwiek spojrzysz — niebo. Dużo przestrzeni dokoła. Widziałem taką dużą maszynę — wyjaśniał — która nazywa się koparką. Ma ona kosz taki wielki jak chata. Tym koszem nabiera ziemię, potem odwraca się i wysypuje ją na drugą stronę. I wyrasta góra... Dlatego też mówię, że wszystko można stworzyć — nawet góry.

Starzec milczał.

— Widzę Simonie Artiomowiczu, że nie wierzycie mi — rzekł Mikołaj już trochę zakłopotany: w żaden sposób nie chciał na pożegnanie zmartwić gościnnego starca, do którego zdążył się

przywiązać. — Powiedzcie jednak, Simonie Artiomowiczu, czy pięćdziesiąt lat temu wierzylibyście, że ludzie mogą latać?... A ja widziałem w Kijowie bardzo szybkie samoloty — opowiadał Mikołaj starając się wykazać swoją znajomość techniki — odrzutowe samoloty. W ciągu jednej godziny tysiąc kilometrów przelatają. A są jeszcze samoloty bez ludzi... same latają.

Starzec milczał, stukając z niezadowoleniem laską o ziemię.

— Nie wierzycie mi, Simonie Artiomowiczu — z rozpaczą machnął ręką Mikołaj. — Myślicie, że to wymysł? Nie... Zdaje mi się, że wkrótce nie tylko samoloty bez ludzi, ale i sami ludzie bez samolotów będą latać. Wezmą do rąk jakąś diabelską rakietę i wylecą ponad chaty...

Soselia tylko pokiwał głową.

— Popatrz! — krzyknął nagle Gorobiec pokazując gdzieś w górę.

Starzec mimo woli podniósł głowę.

Wysoko nad ziemią leciał człowiek. W świetle księżycy wiadać go było wyraźnie. Ręce podniósł do góry, jak gdyby starając się ulecieć jeszcze wyżej, ku płynącym nad nim mglistym, czerwonym gwiazdom.

Światelka oddalały się, a razem z nimi odlatywał i człowiek bez skrzydeł.

Być może, że dopiero teraz Soselia uwierzył traktorzyście Mikołajowi. Na własne oczy widział latającego człowieka. A jeżeli tak jest, to dlaczego ma nie wierzyć, że ludzie mogą usypać góry? Ludzie wszystko mogą.

Lecz sam Mikołaj Gorobiec niczemu w tej chwili nie wierzył. Stał pośrodku ulicy, przecierał oczy i wymachiwał przed sobą rękami, ażeby odegnać to dziwne i niepojęte zjawisko. W rozpaczy rozglądał się na wszystkie strony, patrzył na starca stojącego obok niego, przysłuchiwał się dolatującym dźwiękom śmiechu

bawiących się gości i nie wierzył, że on. Mikołaj Gorobiec, stoi teraz po prostu na wiejskiej ulicy, koło fermy...

* *

Babkin kilkakrotnie wołał Dimkę, ażeby posłuchał, jak działa radiostacja. Dimka jednak nie odpowiadał. Zaniepokojony milczeniem towarzysza Timofiej wrócił do wjazdu.

W tej części stratostatu było już ciemno. Ponure, niebieskie światło, wpadające przez okrągły otwór wjazdu, odbijało się na suficie kabiny i od razu pochłaniała je ciemność.

— Znalazł odpowiedni czas na żarty! — zauważył Babkin starając się stłumić w sobie ogarniające go zdenerwowanie.

— Dimka! — gniewnie krzyknął w ciemność.

Nie było odpowiedzi. Timofiej nadstawił ucha. Koło wjazdu coś szeleściło.

Babkin podszedł bliżej i spostrzegł cienką linę, ślizgającą się po brzegu wjazdu i stopniowo wsuwającą się z kabiny.

— Dimka, wróć! — z rozpaczą krzyknął Tim. — Wracaj, mówię ci! — krzyczał nachylając się całym ciałem nad wjazdem.

W tym momencie Babkin zauważył, że lina naciągnęła się.

Tim ostrożnie pociągnął za linę. Może Dim poczuje, że Babkin jest tutaj i czeka na jego powrót?

W odpowiedzi Dim dał znać, że przyjął sygnał.

Babkin postanowił zwolnić trochę linę, ażeby Dim wygodniej mógł powrócić.

Timofiej dotychczas nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że jego towarzysz, który nigdy nie odznaczał się śmiałością, zdobył się na krok wydający się nawet jemu, Babkinowi, prawie szaleńczym i niewykonalnym. To prawda, że on sam miał zamiar przedostać się do zewnętrznych przyrządów, jednak powzięcie tej

decyzji kosztowało go wiele wysiłku. A Dimka?... Nie, to nieprawdopodobne! To zupełnie do niego nie podobne.

Teraz dręczyła go obawa o los Dimki. Czy tylko dobrze zapiął pas? Czy ze strachu nie straci tam przytomności?

Babkin czuł w rękach zimną stal liny; wydawało mu się, że trzyma przepływającą przez dłonie strużkę wody. Bał się wypuścić z rąk tę niespokojną strugę i ścisnął ją z całych sił, aż do bólu w paznokciach.

Gwałtowne szarpnięcie. Timofiej upadł i uderzył o brzeg włazu. Ręce instynktownie szukały oparcia. Lina, obdzierająca skórę z dłoni, wyrывała się z kabiny.

Pierścienie liny miotają się koło włazu, spadają w przepaść i ciągną za sobą stalowy sznur, odwijając go z bębna dźwigownicy.

Skądś z przestrzeni wdziera się do kabiny zduszony, przysłuszony wyciem silnika odrzutowego krzyk. Bęben obraca się ciągle z szaloną szybkością, a koło zębate stuka niczym karabin maszynowy.

Babkin rzuca się ku dźwigownicy. Błądzi po osłonie kaptura okrwawionymi rękami, starając się zatrzymać szaleńczo trzeszczący bęben. Niemożliwe, wszystko zamknięte! Przez przezroczysty kaptur widać, jak błyszczą krzyżując się i drgając ostatnie metry stalowej liny.

Czy tylko lina jest mocno przymocowana na końcu i nie oderwie się, gdy szarpnie nią spadające ciało?

Babkin chciałby odciągnąć, zatrzymać tę ostatnią minutę. Lecz cóż on może zrobić?! Oderwać przewody prowadzące do przekaźnika? Lecz wtedy lina na pewno zwolni się zupełnie.

Nie, to nic nie da! Lecz co, co przedsięwziąć?... Timofiej całym ciałem kładzie się na dźwigownicę, jak gdyby starając się powstrzymać ją.

Znowu wstrząs. Bęben zatrzymuje się. Statek powietrzny gwałtownie opada w dół.

...Timofiej leżał nie będąc w stanie oderwać rąk od wilgotnej osłony dźwigownicy. Wreszcie podniósł głowę. Wydawało mu się, że od czasu zatrzymania się bębna minęło już kilka godzin. Babkin podniósł się i powoli popęzł w kierunku włazu.

Nad morzem panowała cisza. Lekki wiatr jak gdyby unosił się znad wody. Owiewał mokrą od potu, a może i od łez (do tego Tim nigdy nie przyznałby się) twarz młodego technika. W zimnym blasku księżycy błyszcząca cienka, jak promień naciągnięta lina.

Morze wydawało się obsypane srebrnymi monetami, które pływały i migotały w ciemności. Na tle tego niespokojnego, drgającego światła Tim rozróżnił płynącą gdzieś daleko, zawieszoną w pustce postać.

— Dimka! — krzyknął i sam nie poznał swojego głosu, tak obcy wydawał się i ochrypły.

Babkin nadstawił ucha. Zdawało mu się, że skądś, z głębi dolatuje doń szum morza, szmer piany na grzbietach fal. Lecz nie, to wiatr szeleści po powłoce powietrznego statku.

— Dimka! Odpowiedz, odpowiedz Dimka! — z rozpaczą krzyknął Timofiej.

Znowu milczenie.

Trzeba za wszelką cenę wciągnąć Dimkę tutaj! Lecz to niemożliwe, bo do linki nie można się dostać. Z tej strony nie ma żadnych klamer, żadnych występów, nie ma się czego uczepić.

Timofiej znowu spojrział w dół.

Księżyc wypłynął zza chmur i teraz mógł wyraźnie rozróżnić postać zwisającą nad morzem. Dimka trzymał się liny, wznosząc ręce nad głową, jak gdyby wyciągając je w górę z prośbą o pomoc.

*

* *

Bagrecowowi wydawało się, że spadanie trwało wieki. Początkowo nie czuł za sobą liny i oczekiwał, że w ciągu paru sekund zderzy się z wodą, straci przytomność i — wszystko będzie skończone.

Srebrna powierzchnia morza to przybliżała się, to znowu odpływała dokądś w dół lub wznosiła się jak ściana — czasem z prawej, czasem z lewej strony. A na falach kołysał się sierp księżycy, jak gdyby ścinając niewidoczne kłosa.

Tam, ku morzu spadał Dimka.

Nagle lina naciągnęła się i gwałtownie szarpnęła go za pas. Dim stracił oddech, jak wskutek uderzenia w dołek. Wszystko zawirowało mu w oczach i jak ognie sztuczne rozbłysły jakieś ogniste koła...

Uczucie zimna ocuciło Bagrecowa.

Wadim bał się otworzyć oczy. Czyżby znowu miał zobaczyć pod sobą morze? Czyżby nadał wisiał w pustce? W rękach trzymał chłodną, stalową linę.

Otworzył najpierw jedno oko, jak gdyby wypróbowując swoją wytrzymałość.

Ciemność. Jakieś dalekie, świecące punkty.

Otworzył drugie oko i spojrzał w dół. Przybrzeżne światelka przelatywały długim sznureczkiem. Widocznie była to droga.

Wadim podniósł głowę i spojrzał w górę. Daleko na niebie świeciły czerwone gwiazdeczki — światła sygnałów latającego laboratorium.

A dokoła — pustka Czarne niebo z kopalnią gwiazd. A pod tym niebem zupełnie samotny człowiek zawieszony nad ziemią.

Dim poczuł, że nieprzyjemne, zimne krople wpełzły mu za kołnierz. Deszcz? Nie, to znowu powrócił strach i po plecach

pełzną krople potu. Drętwieją ręce, jak gdyby na wieki przykute do liny, kręci się w głowie, a serce znowu bije rozpaczliwie, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi.

Cóż może być straszniejszego od wysokości, kiedy nie czujesz nigdzie oparcia, kiedy wiatr niesie cię jak pyłek? Zadmie silniej, zakołuje, zakołysz cię w powietrzu, zerwie z liny i rzuci na ziemię.

Dim zamyka oczy i wyraźnie wyobraża sobie, jak pękają i rozkręcają się tam, na górze, w dźwigownicy żyłki liny. Wyskakują stopniowo spod śruby, skręcają się w spiralę...

— Dim, hej, Dim! — usłyszał znajomy głos, dolatujący z góry. Słysząc w nim było rozpacz.

— Słyszę, słyszę! — krzyknął Dimka zadzierając głowę. Próbował podciągnąć się, lecz linka była cienka i ręce ześlizgiwały się po niej. Nie, nie ma co myśleć o wspięciu się do kabiny.

Bagrecow spojrział w dół.

Pod nim przepływała ziemia. Niewysokie góry oblane były, jak śmietaną, światłem księżyca. W czerniejących dolinach świeciły okna domów, jak węgielki dogasającego ogniska. Błyszcząca, betonowana droga opasywała wstęgą góry i kryła się w wąwozach.

Był to świąteczny wieczór. Skądś, z głębi dolin ulatywała w górę wesoła pieśń i szklane, urywane dźwięki sazu *, przypominające dźwięki mandoliny.

Ziemia wabiła. Rozpostarła się przed Dimką spokojna i szczęśliwa. Wyciągała do niego ramiona jodeł, podnosiła do góry, jak troskliwe ręce, gałęzie rozłożystych buków.

* *Saz — instrument kaukaski.*

Wiatr świszczął nad głową. Stalowa lina dzwoniła jak naciągnięta struna. Zniknęły już światełka osiedli. Góry zbliżały się coraz bardziej. W świetle księżyca wydawały się jak gdyby posypane popiołem. Wysoka, zębata ściana biegła mu na spotkanie. Była zarośnięta drzewami jak czarnym mchem, a tylko na szczycie sterczały kanciaste skały.

Pokładowe światła sygnałów statku powietrznego kreśliły na niebie swą drogę równoległymi liniami.

Jeszcze chwila, a zgasną. Wiatr przypędzi statek do samej skały, uniesie go w górę i z całej siły uderzy o ostre głazy. Latający dysk nie może ominąć skał — leci prosto na nie.

Dim patrzył z rozpaczą na zbliżającą się górę. Już mógł rozróżnić w ciemności gałęzie drzew, ujrzeć głęboką szczelinę, biegnącą od wierzchołka do podnóża góry, drobny zagajnik na zboczu, gołe uschnięte drzewo...

Wadim ze wzburzenia zamknął oczy. Wiatr obracał go na linie jak na olbrzymiej karuzeli. Och, żeby ta bezmyślna zabawa przerwała się choćby na minutę!...



...Bagrecow rozpiął pas i rzucił się w dół na czerniejące gałęzie...

Wadim obawiał się, że usłyszy nad głową trzask. Wtedy koniec. Laboratorium ulegnie zagładzie, a w nim... Tim. I wszystko, cała ogromna praca ludzka, w mgnieniu oka zamieni się w stertę szczątków.

Nie zastanawiając się dłużej Bagrecow rozpiął pas i rzucił się w dół, na czerniejące gałęzie pobliskich już całkiem drzew.

Nie widział, jak w tym momencie latające laboratorium spokojnie skręciło w bok, omijając nieoczekiwaną przeszkodę.

Czerwone gwiazdeczki świateł sygnałowych wzbiły się do góry, jak rakiety na znak zwycięstwa.

12. A W TYM CZASIE NA ZIEMI

— Nic nie rozumiem! — z zakłopotaniem rzekł Pojarkow przeglądając taśmę. — Rozpoczęliśmy już próby według jedenastego punktu programu. Lecz cóż to? Wasze przyrządy nie działają, to znowu dają wyniki pomiarów — zwrócił się do Borysa Zacharowicza.

— Na taśmie znowu pojawiły się znaki analizatora powietrza. Przecież on był zepsuty.

Deriabin podbiegł do stołu i spojrzawszy na taśmę westchnął z ulgą. Teraz już wszystko w porządku.

— Borysie Zacharewiczu! — ponownie zwrócił się do niego konstruktor. — Czy jesteście przekonani, że tak powinno być?

Stary inżynier chciał powiedzieć, że przy pierwszych próbach w zupełności możliwe są niespodzianki w aparaturze,

inaczej nie miałyby sensu wypróbowywanie jej. Przemilczał jednak; chwila była nieodpowiednia. Trzeba koniecznie powiedzieć profesorowi, że działają wszystkie przyrządy. Przecież Alekszej Fomicz niepokoił się bardzo, że w czasie zasadniczych prób nie będą pobrane próbki powietrza: „Dlaczego jednak — dziwił się inżynier — analizator powietrza zaczął znowu działać normalnie? Czyżby jego uszkodzenie można było wytłumaczyć zjawiskami burzowymi? Gdyby tak mógł w tej chwili, nie czekając na zakończenie prób, obejrzeć ten przyrząd!“.

— Jaka szybkość wznoszenia? — spytał radiotelegrafistę Borys Zacharowicz.

Ania pochyliła się nad notatkami, poruszyła wargami i odpowiedziała:

— Pięć metrów na sekundę.

— Prawie tak, jak było przewidziane — wyjaśnił Pojarkow. — Jak widzicie, wasze obawy, że latające laboratorium nie osiągnie potrzebnego pułapu, były przedwczesne.

— Nie rozumiem — odrzekł inżynier — dlaczego dysk nagle zaczął wznosić się? Może odgrywają tu rolę prądy wstępujące? Laboratorium leci teraz przecież nad górami.

— Nie, powód musi być inny — machnął ręką konstruktor i zamyślił się.

— No cóż, poczekamy na następną audycję — rzekł Deriabın. — A wy — zwrócił się do konstruktora — starajcie się jak najmniej myśleć o niepowodzeniach. Jestem przekonany, że rano będziemy mogli rozpocząć zasadnicze próby przyrządów Alekszeja Fomicza.

Szurając nogami Borys Zacharowicz poszedł do swojego gabinetu. Zapanowała cisza. Ondulatory wyłączyły się, bębny z taśmami zastygły w bezruchu.

Ania podniosła się z za stołu, lekko rozprostowała wąskie ramiona, przeszła się trochę po pokoju i usiadła na czarnej, skórzanej kanapie.

Pojarkow stał przy oknie i przymknąwszy oczy, kiwał się z boku na bok. Od czasu do czasu mechanicznie zapalał papierosa i nie dopaliwszy go, wyjmował nowego. Wreszcie ze złością wyrzucił dopiero co zapalony papieros, odwrócił się gwałtownie i podszedł do stołu.

Oto ostatnie, rozszyfrowane wyniki, wciągnięte do dziennika. Wysokość trzy tysiące metrów, temperatura, wilgotność, ciśnienie... Wszystko w porządku: barograf odznaczył ciśnienie odpowiadające w przybliżeniu danej wysokości. Cóż więc mogło się stać? Dlaczego latająca stacja meteorologiczna nagle uniosła się w górę? Pojarkow tak dalece wierzył w nieomyłność swojej konstrukcji, że to wszystko wydawało mu się nieprawdopodobne. Dlaczego latająca stacja meteorologiczna, pomimo znacznego zwiększenia jej objętości, nie mogła przedtem wznieść się do przewidzianej strefy równowagi? Dlaczego zaczęła tak nieoczekiwanie wznosić się w górę? Czym można wytłumaczyć to zjawisko? A najważniejsze i najbardziej przykre w tym wszystkim — to przekłeta świadomość własnej bezsilności.

Ania cicho siedziała, bojąc się przerwać milczenie. Odczuwała, jak wielka przykrość spotkała konstruktora. Lecz co mu powiedzieć? Głupio jakoś i niezręcznie mówić teraz słowa pocieszenia.

— Popatrzcie, myje się — usłyszała nagle cichy szept Pojarkowa. Ania wzdrygnęła się i spojrzała w kąt, który wskazywał konstruktor.

Pod jaskrawym światłem żyrandola, nie zwracając na nikogo uwagi, siedziała mysz i zabawnie myślała sobie pyszczek. Widocznie była zajęta tą czynnością tak, że nawet głośny śmiech

inżyniera nie od razu skłonił ją do ukrycia się w szparze pod szafą.

— Będąc dzieckiem miałem białą myszkę. To takie zabawne stworzonko — rzekł Pojarkow odwróciwszy się do Ani.

— Tak, tak — z roztargnieniem odparła dziewczyna myśląc o czymś innym. — Wiecie... podliczyłam i on może być już teraz w stratosferze.

— Nie pozazdrościłbym tej myszce, jeżeliby znalazła się w kabynie latającego laboratorium, na maksymalnym przewidzianym pułapie. — Konstruktor zamyślił się i dodał jak gdyby do siebie: — Jonosfera zaczyna się na wysokości około osiemdziesięciu kilometrów.

— Serafinie Michajłowiczu — zwróciła się do niego Ania — a czy nie byłoby lepiej, gdyby tam był żywy człowiek?

— Gdzie? W jonosferze? Tam nawet myszka nie może żyć. A poza tym, to nie potrzebne. Aparaty bez ludzi działają znacznie lepiej. Jak długo możecie nie spać? — zapytał on nieoczekiwanie.

— Nie wiem... Pewnie dwie lub trzy doby.

— A mechanizmom nie potrzebny jest sen, nie męczą się.

— No dobrze — zgodziła się Ania. — Lecz przecież laboratorium może zalecieć dokądkolwiek... Powiedzmy za granicę.

— Nie pozwolimy na to — uśmiechnął się inżynier. — Zauważyliście, że statek nad morzem zmienił swój kurs? Nakazał mu to przez radio Borys Zacharowicz, który włączył silnik przesyłając odpowiednie impulsy. Przy tym, jak zapewne domyślacie się, gazy silnika odrzutowego powinny były wyrwać się z dyszy zwróconej w kierunku przeciwnym niż kierunek lotu. Wiecie przecież, że rury tego silnika są rozmieszczone na całym obwodzie dysku. Dzięki temu można mu nadać dowolny kierunek. Przypomina to tak zwane gazowe kierownice. Silnik, skonstruowany przez inżyniera Sowiercewa, jest bardzo ekonomiczny i na

statku nie ma większych zapasów materiałów pędnych, tym bardziej że silnik włącza się tylko w niezbędnych wypadkach: gdy trzeba zmienić kurs lub przy osiągnięciu pułapu, gdy dysk wznie się poza obręb gęstej atmosfery.

— A jeżeli jakiś samolot naleci nocą na nasz statek?

— Posiada on, podobnie jak wszystkie samoloty, światła pokładowe.

— Rozumiem — zgodziła się Ania. — Ale wasz dysk może sam nalecieć na jakąś górę. Co się wtedy stanie?

— I to także jest niemożliwe ożywił się konstruktor — na górnej powierzchni statku umieszczony jest radar, który czuwa jak marynarz na wachcie. Radar daje znać automatom, które kierują włączeniem takich czy innych rur silnika odrzutowego. Uprzedza o przeszkodzie napotkanej na drodze. Fale radarowe odbijają się od góry i natrafiając na odbiornik, umieszczony na dysku, włączają silnik. Gazy z ogromną szybkością popłyną przez odpowiednie dysze i dysk po prostu zawróci w bok.

Konstruktor spojrzął na dziewczynę i zapytał z miękkim uśmiechem:

— Teraz rozumiecie, że tam w górze, człowiek jest całkiem niepotrzebny?

— To prawda — potwierdziła Ania z pewnym powątpieniem w głosie. — Ale teraz na przykład coś się tam zdarzyło, a wy...

Nie zakończyła zdania, czując, że dotknęła konstruktora do żywego. Pojarkow drgnął ledwo dostrzegalnie, lecz natychmiast zapanował nad sobą.

— Tak! — odpowiedział ostro. — Chciałbym bardzo być tam w górze i widzieć wszystkie braki naszej konstrukcji. Tym bardziej że takiej jeszcze nigdy i nigdzie nie było. Lecz to przecież pierwsza próba — ciągnął z zadumą, jak gdyby uspokajając

sam siebie. — Wkrótce nad naszą ziemią będą unosiły się dziesiątki latających laboratoriów. A ludzie będą w nich nie potrzebni. Rozumiecie, niepotrzebni!...

Pojarkow wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

— Wybaczcie, proszę — rzekł zatrzymując się obok Ani. — Być może, nudzi was wysłuchiwanie moich zwierzeń, chciałym jednak wiedzieć, jak odnosi się do konstrukcji latającego laboratorium zwykły człowiek, który nie jest specjalistą, jest jednak dostatecznie obznajomiony z techniką. Powiedzmy, tak jak wy. Przyjmijcie, że musimy osiągnąć wysokość pięćdziesięciu kilometrów. Jak to uczynić? W jaki sposób?

— Stratostat? — zapytała Ania nieśmiało.

— Powinien być sterowany — to pierwszy warunek, a następnie absolutnie niezawodny — to drugi... Poza tym przyrządy Aleksjeja Fomicza wymagają dużej powierzchni. Czy zauważyliście, że obiektywy są rozmieszczone na całym obwodzie dysku?

— To znaczy, że urządzenie raketowe jest potrzebne tylko do zmiany kierunku? — zainteresowała się Ania, nie odpowiadając na pytanie.

— Tak, jest to szczególnie ważne na dużych wysokościach. Inne silniki tam nie działają. A następnie silnik odrzutowy pozwala na wznoszenie się dysku w silnie rozrzedzonej atmosferze. Dla stratostatu istnieje pułap — to nie rakiet.

— A jeżeliby tam. ludzie byli?

— Bezcelowe ryzyko. Myślę, że promienie kosmiczne mogą stanowić poważne niebezpieczeństwo dla śmiałków. Lekkie laboratorium powietrzne bez zbytecznego obciążenia, bez ludzi, zdoła wznieść się do takiej wysokości, do jakiej nie dotarł jeszcze żaden człowiek. Przyrządy laboratorium z zimną krwią i dokładnie opowiedzą o wszystkim, co interesuje człowieka w powietrznym oceanie.

— Czytałem, że nasi radzieccy stratonauci ustanowili rekord wysokości. Wzniesli się na wysokość dwudziestu dwu kilometrów i zginęli na skutek nieszczęśliwego wypadku.

— Byłem wtedy jeszcze małym chłopcem — z zadumą powiedział konstruktor. — Nie mogłem w to uwierzyć. A już zupełnie niedorzeczna wydawała mi się śmierć tych młodych uczonych. Przez szereg dni powtarzałem sobie ich nazwiska: Fiedosjew, Wasjenko, Usyskin... Pochowano ich pod murami Kremla.

— A jeśli — ciągnął dalej inżynier — po długim milczeniu — próby udadzą się, to kto wie? Może na podstawie tej konstrukcji zbudujemy coś innego, na przykład zupełnie bezpieczny statek powietrzny. Będzie latał w stratosferze, gdzie opór powietrza jest bardzo mały. Nie będzie mógł ulec rozbiciu, gdyż nasz dysk jest lżejszy od powietrza. Rozumiecie, Aniu — zupełnie bezpieczeństwo. Byleby tylko te próby udały się...

Do pokoju wszedł Borys Zacharewicz. Trzymał w rękach okulary i krótkowzrocznymi oczyma rozglądał się na wszystkie strony. Twarz jego wydawała się teraz dobroduszną i zupełnie niepodobną do twarzy groźnego naczelnika, którego Ania tak się bała.

Wreszcie Deriabin nałożył okulary i dojrzawszy Pojarkowa, który z ożywieniem rozmawiał z Anią, uśmiechnął się. Podobało mu się, że konstruktor, pomimo niezupełnie udanych prób, zachowuje się z godnością i spokojnie, a nawet z widoczną przyjemnością rozmawia z dziewczyną.

— Aniu — zwrócił się do niej — przyśniło mi się, że opuściłście audycję.

Radiotelegrafistka zarumieniła się i spojrzawszy na zegarek, bąknęła:

— Cóż wy, Borysie Zacharowiczu!... Czy ja bym mogła?...

W miarę tego, jak wskazówka przesuwiała się ku cyfrze „2“, konstruktora ogarniało zdenerwowanie. Zbliżała się decydująca chwila. Jeszcze parę minut — i wszystko się wyjaśni. Czyżby laboratorium nie zdołało się wznieść do stratosfery, nie mówiąc już o większych wysokościach?...

Zabrzęczały silniczki, zaczęły pełznąć taśmy, podobne do serpentyn. Zastukały ondulatory.

— Ile? — zapytał Anię Pojarkow nachyliwszy się całym ciałem nad przyrządem.

Ania milczała śledząc podskakujące piórko, które dopiero zaczęło odznaczać wysokość.

Czarna linia pełzła w górę. Jeszcze trochę.

— Dziewięć kilometrów! — krzyknęła niemal Ania i odwróciła się do Pojarkowa. — Niedługo można będzie zacząć próby według dwunastego punktu.

Konstruktor westchnął z ulgą i osunął się na krzesło.

— Temperatura? — zapytał szybko Deriabin.

— Minus pięćdziesiąt pięć.

13. CIĄGLE W GÓRĘ!

Statek powietrzny gwałtownie wznosił się w górę. Próby uniwersalnego latającego laboratorium kontynuowano na razie jeszcze według jedenastego punktu programu.

Radiostacja regularnie nadawała wskazania skomplikowanych przyrządów.

Przyrządy działały precyzyjnie i nieprzerwanie, co niepokoiło trochę inżyniera Deriabina. Uważał, że przy pierwszych próbach bezwarunkowo powinny ujawnić się jakieś braki. Czy można od razu wszystko uwzględnić?

W kabynie powietrznego laboratorium nie było ogrzewania, gdyż nie przewidywano w nim załogi. Zamykało się ono hermetycznie, co było bardzo ważne dla znajdujących się w nim licznych aparatów. Dlatego też można było mieć nadzieję, że człowiek, który by przypadkowo dostał się do kabiny, nie ucierpiałby wskutek zmiany ciśnienia.

Objętość latającego laboratorium, przypominającego dysk, mogła ulegać zmianie. Tą właściwością przypominała projekty metalowych sterowców Ciołkowskiego, których karbowana powłoka miała rozszerzać się wskutek wewnętrznego ciśnienia gazów, przy zmniejszaniu się ciśnienia atmosferycznego na wysokości.

Na jaką jednak wysokość może wznieść się fantastyczny dysk Pojarkowa? Czy jego powłoka wytrzyma tak znaczną różnicę ciśnień?

Może dysk osiągnie maksymalną wysokość, a wtedy... Babkin odczuł ostry zwrot, a następnie gwałtowne wznoszenie w górę.

W pierwszej chwili Timofiej nie mógł zrozumieć, co się z nim stało. Czyżby znowu zaczęło działać jakieś automatyczne urządzenie? Lecz jakież to było dziwne. Do czego był potrzebny ten ostry zwrot?

— Dimka! — krzyknął Timofiej biegnąc w stronę włazu.

Żadnej odpowiedzi! Cóż to za żarty? Gdzie Dim mógł się schować?

Babkin instynktownie nachylił się nad włazem. Lecz cóż to? Lina zniknęła!

Zszedł jeszcze niżej i zobaczył, że cienka srebrna nić zawisała jak pajęczyna i przylgnęła do korpusu dysku.

Nie było wątpliwości, że Dimka zniknął.

Uciekała ziemia, oświetlona blaskiem księżyca. We mgle rozpływały się rzeki, jak gdyby napełnione migocącą rtęcią. Czarne, postrzępione cienie gór stopniowo traciły swoje zarysy.

Tuż pod samym wjazem przemknął srebrzysty obłoczek, podobny do waty na choinkę, obsypanej przezroczystymi błyskotkami — i od razu zrobiło się ciemno.

Tim drżał z zimna. Wspiął się w górę po drabinie i usadowił się obok wjazdu. Ze stoickim spokojem, który, należy zaznaczyć, niezbyt łatwo mu przychodził w tym położeniu, rozmyślał o wszystkim, co zaszło.

„Dimka niewątpliwie postąpił słusznie. Zahaczył na pewno o jakieś drzewko na wierzchołku góry i zdołał w tym momencie uwolnić się od liny. Zuch Dimka, nie stracił głowy!“ Cóż. miałoby tutaj dwóch do roboty? Chociaż — od razu poprawił się Tim — razem jest jakoś weselej.

Co się teraz dzieje z Dimką? Czy uda mu się dostać dzisiaj do jakiegoś osiedla? A może coś się z nim stało, może się rozbił?... Nie, tę myśl Tim odrzucił od siebie.

Nadeszła pora audycji. „Czy Dimce udało się naprawić analizator? — myślał Timofiej. — Wskazania analizatora będą miały szczególne znaczenie na dużej wysokości“.

Tak... To wilgotność, kierunek wiatru... Bardzo dobrze! Analizator działa precyzyjnie. Zadziwiający chłopak z tego Dimki! Zdołał naprawić przyrząd w takich warunkach! Nie każdy to potrafi... — pomyślał Babkin przypominając sobie swoje wahanie.

Chłód powoli rozlewał się po kabinie, jak lodowata woda. Timofiejowi wydawało się, że woda już podkraśnia się do niego i cienkimi strużkami pełźnie po karbowanej podłodze.

Trzeba zamknąć właz,

Babkin po raz ostatni spojrzął na ziemię. Widać było, że zbliża się świt. Zatrzasnął wieko zewnętrznego włazu. Statek powietrzny wznosił się nadal. Timofiej postanowił starannie izolować kabinę, zachowując w niej normalne ciśnienie. Wyciągnął z kieszeni płaskie obcęgi i zaczął z wielkim wysiłkiem zakręcać śruby na wewnętrznej stronie wieka, aby przycisnąć je do brzegów włazu. To samo zrobił z drugim wiekiem.

Teraz był stosunkowo spokojny! Ciśnienie w kabinie jest normalne. Prawdopodobnie również wystarczy powietrza, ponieważ objętość kabiny jest dostatecznie duża.

„Wystarczy — pomyślał mimo woli — jeżeli naturalnie lot nie będzie przeciągał się zbyt długo”.

Babkinowi, który nosił letnie ubranie, zrobiło się zimno, jednak znosił chłód ze stoickim spokojem.

„Dimka nawet zimą chodził czasem bez czapki... — myślał Tim idąc w stronę radiostacji. — Bez czapki — to nie to samo co w samych skarpetkach” — poprawił sam siebie, czując pod nogami palący chłód metalu.

Podskakując i uderzając głową o sufit kabiny, Tim dotarł do radiostacji i usadowił się na brzegu konstrukcji, na której zamontowane były akumulatory.

Wydawało mu się, że tu jest nieco cieplej. Nie odczuwał tak silnie chłodu metalu, zwłaszcza że siedział na poprzeczce konstrukcji sporządzonej z aluminium.

„Ile stopni może być teraz w kabinie? Co najmniej dziesięć stopni mrozu. To jeszcze nic, wytrzymamy” — myślał.

Babkin chciał się rozgrzać wykonując gwałtowne ruchy, lecz jego pozycja na cienkim drążku była tak chwiejna, że musiał wyrzec się tej próby. Nie mógł się zdobyć na to, by zeskoczyć na podłogę — jeszcze by mu nogi przymarzły.

Teraz dopiero żałował utraconych bucików. Dlaczego wyrzucił drugi? Zawsze byłoby mu lżej. „Mógłbym stać jak bocian — na jednej nodze” — pomyślał Tim z uśmiechem.

Wiedział, że wkrótce w kabinie będzie jeszcze zimniej. Mróz będzie zwolna tamował ruchy, usypiał... Już nie będzie się chciało rozcierać rąk, poruszać palcami u nóg...

Tim zdjął z siebie marynarkę, podłożył ją pod nogi i zaczął podskakiwać w miejscu, wymachując rękami.

„Przypominam teraz Dimkę — znowu wspomniawszy towarzysza. — On — także wymachuje rękami, ale robi to bez sensu“.

Timofiej zmęczył się rozgrzewaniem. Włożył marynarkę i znowu powrócił na swój aluminiowy drążek.

Statek powietrzny wznosił się coraz wyżej. Babkin domyślał się tego, lecz nie chciał o tym myśleć.

Niepokoił się o los Dimki. Być może, dopiero teraz Babkin zdał sobie sprawę z tego, jak drogi był mu kolega...

Odważył się wyleźć z kabiny: to prawdziwe męstwo! Przecież nawet on, Timofiej, długo się wahał. I nie zdążył...

Teraz Tim inaczej oceniał postęпки swojego towarzysza. Dimka jest zupełnie niepodobny do innych. Jest w nim coś dzieciennego, a jednocześnie wielkiego i rozumnego. Przy pierwszym poznaniu... nikt nie mógłby ocenić jego charakteru.

Dimkę trzeba dobrze znać...

Czyżby miał nie ujrzeć go nigdy więcej? Nie, w to nie można uwierzyć!

Stratostat wznosił się coraz wyżej i wyżej...

Kiedy wreszcie zakończą się te ciężkie próby?

Przyrządy pokryły się drobnym szronem.

Ludzie radzieccy! Inżynierowie, wy, którzy wymyśliliście niezwykły dysk, prześlizgujący się przez zimne przestrzenie stratosfery! Cieszyście się każdym metrem pokonanej wysokości. Sprawdzacie przyrządy stworzone dzięki waszemu talentowi i wytrwałości. Gdybyście wiedzieli, że razem ze skonstruowanymi przez was aparatami, tam, w górze, daleko od ciepłej, ojczystej ziemi, poddane są próbie wola i męstwo człowieka!

Ten chłopak był taki skromny, że nawet przed samym sobą nie przyznawał się do skrytego dążenia, aby wznieść się nad ziemię wyżej niż wszyscy, wznieść się na wysokość, jakiej nie osiągnął dotychczas żaden człowiek. „Aby żaden lotnik na całym świecie, poza oczywiście naszymi, radzieckimi, nie mógł nigdy pobić tego rekordu”.

Babkin namacał ręką odbiornik, w taki sam sposób znalazł słuchawki i nałożył je. Metalowa część nauszników boleśnie sparzyła mu skronie, jak gdyby natychmiast przymarzła do skóry.

Babkin włączył odbiornik i czekał cierpliwie na rozpoczęcie audycji; chciał się upewnić, czy radiostacja i przyrządy działają normalnie nawet w tak niskiej temperaturze. Kto wie, co może się zdarzyć przy pierwszych próbach; może trzeba będzie znowu coś naprawić.

Zauważył, że szklana rurka w jednym z przyrządów pokryła się lodem. Trzeba to zanotować!

Babkin czuł, że stopniowo marzną mu palce u nóg. Są już zupełnie zdrętwiałe. Podciągnął kolana pod brodę, ujął w dłonie palce nóg i rozpaczliwie zaczął je rozcierać! Serce po prostu przestawało mu bić z zimna.

W słuchawce dało się słyszeć znajome bulgotanie sygnałów. Radiostacja działa...

„Cóż ona podaje? Wysokość 7 500... ciśnienie 300... Jakie niskie ciśnienie jest na tej wysokości! A wyżej jeszcze niższe... Gdyby otworzyć włazy, stałbym się na pewno podobny do wyciągniętej z głębin ryby...”.

Tim przypomniał sobie obrazek w podręczniku — ryba z wychodzącymi z orbit oczami. Wzdrygnął się mimo woli. „Co za głupstwa! Że też przychodzą mi do głowy takie głupie myśli!”.

Temperatura 45 stopni. Dobrze, że powietrze w kabinie nie zdołało się jeszcze zupełnie oziębic. Zawsze tutaj cieplej niż na zewnątrz. Tim pamięta, że kiedyś w Moskwie mróz dochodził do 40 stopni. Było wtedy bardzo trudno oddychać. A teraz? Nie, po co o tym myśleć!

Tak mijały minuty. Latające laboratorium zbliżało się do niewidzialnej granicy stratosfery.

14. W DÓŁ PO GÓRSKIM ZBOCZU

Na polanę oświetloną blaskiem księżycy przez gąszcz jeżyn przedzierał się szakal. Był chudy, podobny do bezdomnego psa, z wystającymi, ledwo pokrytymi wyleniałą sierścią żebrami. Szakal był tak stary, że z trudem zdobywał dla siebie pożywienie i żywił się, czym się dało: żabami, jaszczurkami lub przypadkową padliną.

Nie chował się już w zaroślach i nie dbając o ostrożność biegł przez polanę truchcikiem jak domowy pies.

Szakal przebiegł na drugą stronę oświetlonej przestrzeni, zatrzymał się, podniósł głowę i zawył do księżyca zupełnie jak pies.

Tym razem jednak nie tylko księżyc zwrócił na siebie uwagę doświadczonego włóczęgi-szakala.

W górze, lecz całkiem blisko ziemi, wśród ciemnych liści drzewa, szakal zauważył bladą ludzką rękę, zwisającą bez życia.

Szakal widocznie nie bał się ludzi. Być może, nie zrobili mu nic złego w ciągu jego długiego życia. Pomimo to postanowił poczekać w cieniu — może ten człowiek zejdzie teraz z drzewa i pójdzie swoją drogą.

Lecz człowiek nie miał wcale zamiaru zmieniać swojej pozycji.

Szakal czekał jeszcze chwilę. Może człowiek żyje?

Księżyc podniósł się już zupełnie wysoko. Szakal ziewnął, wylizał leniwie swoją wyleniąta skórę i zawył. Wkrótce i jemu samemu obrzydło to błahe zajęcie. Po minucie zakaszłał ochryple i zamilkł.

Dim słyszał jak przez sen zawodzenie wiatru. Czyżby jeszcze wisiał na linie? Nie, pamięta przecież, że rzucił się w dół.

Lecz co się z nim dzieje? Wadim przesunął ręką po twarzy. Była mokra, a coś lepkiego ciekło po szyi, po czole...

Ciemno. Wadim spróbował otworzyć oczy. Nic nie widać. Straszliwe przypuszczenie przemknęło mu przez myśl. Może, upadając na kolące gałęzie, skaleczył oczy?... O, jaki męczący ból!... Dim nie mógł jeszcze pojąć, co go boli. Ból rozlewał się po całym ciele — lecz najbardziej dręczył gdzieś na twarzy.

Spróbował znowu podnieść powieki, lecz rzęsy skleiły się. Zrozpaczony Dim rękami omal że rozerwał powieki zalane zastygłą krwią i tuż przed sobą ujrział błyszczące w świetle księżyca, jak wycięte z blachy, drżące listeczki.

Spojrzał na niebo, tam gdzie zniknęły jaskrawe gwiazdki latającego dysku. Szukał go pośród miliardów jasnych gwiazd. O, gdyby choć na mgnienie oka ukazały się czerwone światełka!

Dim zrozumiał, że latające laboratorium, uwolnione od zbędnego ciężaru, może osiągnąć stratosferę. Mimo woli wyobrażał sobie błyszczący dysk z czarnymi punktami dziwnych obiektów skierowanych w górę. Do czego one służą? Czego szukają w zimnej pustyni? „Ale co z Timką? — pomyślał znowu. — Straci przytomność, zamarznie, a statek powietrzny długo będzie unosić go nad ziemią...”.

Trzeba biec do osiedla, powiedzieć, zatelegrafować, żeby przerwali próby.. Biec, dopóki nie jest jeszcze za późno.

Bagrecow spróbował poruszyć się. Bolało go całe ciało, pokryte zadraśnięciami. Ostry sęk przebił marynarkę i utkwił gdzieś koło zebra. W tym miejscu ból dawał się szczególnie we znaki.

Wadim z wielkim wysiłkiem wydostał się spośród gałęzi i popróbował zsunąć się w dół. Krew płynąca z rozciętego czoła zalewała mu oczy. Nic nie widział i tylko instynkt wskazywał mu, gdzie postawić nogę. Gdy oparł się całym ciężarem na lewej nodze, poczuł nagle tak silny ból, że pociemniało mu w oczach.

„Czyżbym złamał? — przemknęło się przez myśl. — Jak w takim razie zdołam uprzedzić?...”.

Noga ześliznęła się z gałęzi i Wadim spadł na dół. Dobrze, że nie było wysoko. Zresztą, teraz niezbyt liczył się z wysokością. Nawet stuletnie drzewa wydawały mu się niziutkie, niemal karłowate.

Dim uniósł się i wytarłszy rękami brwi, oblepione krwią, rozglądnął się dokoła.

Górskie zbocze. Trawa jak gdyby pokryta szronem. Całkiem czarne, kanciaste cienie drzew, padające na jasno oświetloną polanę. Wszystko to przypominało księżycowy krajobraz.

Bagrecow spróbował wstać i krzyknął z bólu. Nie mógł stąpnąć na lewą nogę. Czekać do rana? Nie... nie... Będzie za późno.

Wyłamał jakąś krzywą pałkę i spróbował, opierając się na niej, przejść kilka kroków. Noga bolała nieznośnie, spuchła i wydawała się jak z ołowiu.

Przewyciężając ból, Wadim szedł, a raczej kuśtykał przez oświetloną polanę, odpoczywając co chwila i nabierając sił.

Zupełnie już blisko czernieje cień lasu. Wadim niechętnie rozstał się z polaną, na której wszystko widać i gdzie jest jasno. Co go czeka w lesie? Czy znajdzie drogę? Czy zdoła wydostać się z gęstwiny?

Wadim wiedział, że należy iść tylko w dół, w kierunku doliny. Tam na pewno spotka ludzi. Lecz co zrobić, żeby nie zabłądzić? Zbocze może być nierówne, gdzieś trzeba będzie znowu wspinać się w górę. W jaki sposób zdoła wtedy określić potrzebny kierunek?

Bagrecow usłyszał za sobą szelest, odwrócił się i stanął jak wryty. Jakieś zwierzę podkradało się ostrożnie ku niemu. Cień jego był olbrzymi i samo zwierzę wydawało się Dimce bardzo duże. Chłód przeniknął jego serce.

„Może to pantera?” — przemknęło mu nagle przez myśl. Dim czytał niedawno, że w Armenii spotyka się je czasem. A gdzie on się obecnie znajduje? Zupełnie możliwe, że w Armenii...

W tej chwili Wadim, sam się temu dziwiąc, pożałował, że nie wisi już na linie. Tam było chyba bezpieczniej.

Długi cień zwierzęcia nie poruszał się. Na co czeka? Wadim zapomniał o bolącej nodze i wysoko nad głową podniósłszy

sękatą pałkę, rzucił się na zwierzę. Szakał jak pies podwinął ogon i z żalonym skowytem rzucił się w zarośla.

Dim opuścił pałkę i opierając się na niej, szybko pokuśtykał w stronę drzew.

Jakże ciężko znaleźć w sobie tyle męstwa, aby zmusić się do milczenia, gdy dokucza ból w nodze i całym ciele. Nie odczuwać, a raczej zmusić się, aby nie czuć, że ciepłe strugi krwi ciekną z rozciętego czoła, że koszula stopniowo wilgotnieje, przylepiając się do rany pod żebrem.

Nie, tak nie dojdzie. A trzeba iść prędzej, jak najprędzej, aby uprzedzić ludzi na poligonie: „Dosyć! Kończcie próby. Tam na górze jest człowiek!”.

Bagrecow usiadł na trawie, zrzucił marynarkę, rozdarł koszulę i odmawiającymi posłuszeństwa palcami zaczął przywiązywać ranę na boku. Opatrunek obsuwa się, skręca się jak sznur. W oczach stają łzy bólu... No, jakoś to będzie.

Przewiązał czoło i wytarłszy strzępami koszuli twarz umazaną krwią zmieszaną ze łzami, podniósł się i odpoczywając przy każdym drzewie, szedł naprzód.

Poprzez czarne zarysy liści przenikało światło księżyca. Skośne jego promienie opierały się o ziemię, jak gdyby zagradzając drogę.

Dim jak lunatyk, z na wpół zamkniętymi oczami schodził ze zbocza. Potykał się, upadał, a podniósłszy się patrzył na spokojne niebo, znowu starając się odszukać gwiazdy, które uleciały. „Gdzie jest teraz Tim?”.

Kołące krzewy do krwi rozdrapywały mu nogi. Gdy docierał do drzewa, opierał się na nim całym ciałem, żeby tylko nie osunąć się na ziemię. Tego bowiem Dim bał się najbardziej. Nie zdołałby się już podnieść.

Zbliżał się brzask. Przeświecające pośród drzew skrawki nieba wydawały się biadolili owymi kleksami atramentu.

Księżyc skrył się i las stracił całą swoją tajemniczość. Czarne, sękate pnie buków'' i orzechów tworzyły jednolitą ścianę. Bagrecow nie czuł już pod nogami spadzistego zbocza. Stracił kierunek. A więc nigdy nie zdoła zejść do doliny.

Z głodu i upływu krwi kręciło mu się w głowie. Potknął się i upadł na ziemię. Próbował wstać, lecz ręce ześlizgiwały się po niskiej trawie i nie było się czego uchwycić.

Coś miękkiego i zarazem wilgotnego dostało się pomiędzy palce. Dim podniósł rękę do twarzy i od razu poczuł charakterystyczny zapach rozgniecionej jagody derenia. Widocznie utrzymała się tutaj jeszcze od zeszłej jesieni. Dim znalazł jeszcze kilka jagód i zjadł je łączywie. Krew na wargach zmieszała się z kwaskowatym miąższem jagody.

Niebo jaśniało. Stało się już z lekka różowawe, jak gdyby także zabarwiło się dereniowym sokiem.

Trzeba znowu iść... Dim podniósł się i pochyliwszy się całym ciałem, ruszył przez zarośla. Nic nie widział. Czuł, że ostre kolce wpijają mu się w ciało, że chwyтлиwe gałęzie jeżyn wloką się za nim jak zębate żmije. Zatrzymują go, owijają się dokoła nóg, ciągną z powrotem...

Wadim rozcina scyzorykiem splątane krzewy i idzie dalej. Cała jego odzież jest poszarpana w strzępy; utkwiły w niej setki kolców. Długie igły tarniny szarpią ciało jak gwoździe.

„Czyż nie starczy mi sił?... Żeby tylko nie upaść!... Nie upaść!...

„Tim, Tim — szeptał pogryzionymi do krwi wargami". Czuł, że Timofiejowi jest teraz jeszcze ciężej niż jemu. Gdzie on jest? Ile tysięcy metrów minął wśród obłoków uwolniony od ciężaru statek powietrzny?

Wadimowi wydaje się, że skądś z góry, z dalekich śródgwiezdných przestrzeni dolatuje go głos przyjaciela: „Dim, hej, Dim!... Tu zimno i niebo jest czarne... Nie widzę ziemi...”.

Dim znowu rzucił się naprzód, lecz nagle potknął się i potoczył w dół po spadzistym zboczu.

15. „TAM ZIMNO I NIEBO JEST CZARNE”

Latający dysk osiągnął już wysokość szesnastu tysięcy metrów. Rozświetlił się oszklony właz w podłodze kabiny. Ukradkiem wpełzał przezeń świt. Na ściankach i przyrządach lśnił szron. Kable prowadzące do radiostacji stały się białe jak oszronione gałęzie.

Tim ogrzewał oddechem marznące palce. Nie mógł już nic więcej zanotować.

„Może już dosyć. Czas zakończyć próby” — przeleciała zbawcza myśl. Wystarczy tylko wyłączyć wszystkie przyrządy, a wtedy na pewno inżynierowie spowodują lądowanie laboratorium. Trzeba to zrobić prędkiej, prędkiej, dopóki jeszcze nie ztracił świadomości.

Nie, laboratorium na pewno nie osiągnęło jeszcze maksymalnej wysokości. Badania muszą trwać dalej !...

Babkin zeskoczył z drążka. Starając się wykonywać jak najwięcej poruszeń, uderzał się aż do bólu po piersiach, bił się po nogach. Robił wszystko, byle tylko nie ulec zimnu.

„Czas!... Czas zakończyć ten straszny lot“ — świdrowało w mózgu.

Ręka wyciągała się już w stronę przyrządów. O, tutaj trzeba odłączyć przewody zasilające. Od razu wszystko będzie wyłączone. Urządzenie odbiorcze, zasilane przez inne akumulatory, otrzyma nakaz z ziemi, zazgrzyta przekaźnik sterujący objętość stratostatu. Dysk stanie się płaski i jak spadochron zacznie opadać w dół. Stopniowo ociepli się, po ścianach pociekną wiosenne krople, odtaje szron... A przez właz wtargnie gorącym wiatrem prawdziwa ziemską wiosna...

A potem wejdzie do kabiny inżynier Deriabin. Naturalnie zdziwi się najpierw, następnie sprawdzi wyłączone przyrządy i z wyrzutem spojrzy na Babkina. Nic więcej nie powie. Próby zostały udaremnione...

Skostniała ręka, wyciągnięta w kierunku kabla zasilającego, bezsilnie opada w dół. Timofiej nie może przerwać prób.

Timowi chciało się spać... Spać, tylko spać!... Nie odczuwał już głodu. Spojrzał na pomysłowe przyrządy. Dlaczego na rurkach osiadł lód? Trzeba wszystko zapisać. Palce nie mogą już utrzymać ołówka. Tim wyciągnął z kieszeni dwa kawałki drutu, przełączył je do akumulatora i oczyszczonymi końcami przewodów dotknął rdzenia ołówka.

Poczuł od razu, że ołówek szybko się nagrzewa. Trzymał go w rękach jak miniaturowy grzejnik i ze wzruszeniem czuł żywotne ciepło w skostniałych palcach.

Po kilku minutach Tim wziął zeszyt Bagrecowa i zaczął w nim zapisywać swoje spostrzeżenia". Co się dzieje teraz z Dimką?“... pomyślał Timofiej odłożywszy na bok gorący ołówek.

Dręczyło go pragnienie, by usłyszeć głos przyjaciela. Niech mówi, co chce... Tim nigdy nie uśmiechnie się, nigdy nie będzie mu przeczyć. Na wszystko się zgodzi.

Babkin otworzył dziennik na piątej stronie.

„Znowu myślę o tobie, mój daleki przyjacielu — czytał wspominając naiwne marzenie Dimki. — Wiem, że jesteś szlachetny i rozumny — pisał Dim. — Nasi ludzie, wychowani przez państwo, oddali ci wszystko, co najlepsze, to co nagromadzili w ciągu długich lat wielkich prac i wielkiej wojny o szczęście człowieka. Ty nigdy nie zaznałeś i nie zaznasz tego, czego zaznali twoi rówieśnicy w czasie strasznych lat wojny. Nie zdarzało ci się, żebyś drząc z zimna spał zwinięty w kłębek przy warsztacie. Nie zdarzało ci się chodzić na zwiad po pas w wodzie w kubańskich bajorach. Ty nie zaznałeś i nie zaznasz nędzy i głodu.

Już ja widziałem w dzieciństwie bardzo niewiele z tego wszystkiego. A twoje dzieciństwo minie bez żadnych trosk. Nie napotykałeś nawet drobnych przykrości. Lecz jeśli zajdzie potrzeba, to i ty potrafisz być dobrym żołnierzem, który w palącym upale i wśród mroźnej nocy nie myśli o zmęczeniu! Przyznaję się, mój przyjacielu, że ogarnia mnie strach, gdy patrzę w dół. Obawiam się, że los wystawi mnie na jeszcze większe próby. Czy wystarczy mi odwagi, by je przetrwać?

Wierzę w ciebie, mój daleki rówieśniku. Wiem, że sport zahartuje twoje ciało; będziesz wytrzymały i zdrowy. A najważniejsze jest to, że już od dzieciństwa powinieneś być przyzwyczajony do przewycięzania w sobie strachu. Dla mnie było to bardzo trudne, aż do dzisiejszej nocy...

Nie wiem i nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że latające laboratorium zostało zbudowane w celu zbadania promieni kosmicznych.

Jak wiele jeszcze trzeba zdziałać! Toteż nawet mnie, zwykłemu technikowi, który dużo jeszcze powinien się uczyć, śmieszny się wydaje histeryczny krzyk zaoceanicznych geszefciarzy. Zbudowali bombę atomową, straszne narzędzie wojny, i

udowadniają, że w ten sposób odkryli tajemnicę atomu. Od tego czasu twierdzą, że ujarzmili energię atomową. Godni pożałowania samochwalcy! Nawet mały chłopczyk wie, że w ich bombie atomowej nie wykorzystuje się ani tysięcznej części energii jąder uranu.

Nie straszliwe widziadła bomb atomowych stają przed nami, kiedy budujemy laboratoria. Widzimy krainę dostatku... Możliwe, że ciężka praca górników przejdzie wkrótce do historii. Ludzie uwolnią się od ciężkich chorób (produkty rozpadu jąder leczą raka). Myślę, że wówczas przy tak taniej energii ludzie nie będą musieli pracować dłużej, niż dwie godziny na dobę...

Gdyby zresztą Babkin zobaczył ten zeszyt, powiedziała by znowu, że jestem marzycielem. Nie! Wierzę, że tak będzie...".

Timofiej ze wzruszeniem zamknął dziennik. „A więc taki jest Dimka!... Ale co on tam pisze o promieniach kosmicznych? Czyżby miał rację?”.

Babkin wiedział, że aparaty do obliczania natężenia promieni kosmicznych ustawia się zwykle w górach. Czyż mógł przypuszczać, że można skonstruować lekkie aparaty i wznieść je w powietrze na latającym dysku? Słyszał o promieniach kosmicznych błędzących w przestrzeniach wszechświata. Uczniowie mówią, że badanie tych cząstek ułatwi wydobycie na jaw tajemniczych sił wiążących jądro atomowe. Ale jak...

Babkin ciągle na nowo nagrzewał ołówki i przykładał go do nóg, lecz grafit wydzieliał bardzo mało ciepła. Wówczas Tim zdecydował się na coś innego. Wiedział, że akumulatory są przyłączone grupami. Jeżeli odłączy część z nich, to działanie radiostacji i przyrządów nie zostanie naruszone. Skróci się tylko czas działania całego urządzenia. Na to można się zgodzić.

Babkin wziął kilka akumulatorów połączonych szeregowo i przyłączył je do dwuwoltowej skrzynki.

Wskutek zwiększenia napięcia akumulator zaczął nagrzewać się i wrzeć. Teraz już można było przykładać ręce do większej powierzchni nagrzewającego się przedmiotu. To nie ołówki!

Babkinowi zdawało się, że nawet w kabinie zrobiło się ciepło. Było to jednak tylko złudzenie. Gorący akumulator nie mógł ogrzać kabiny. Poprzez otaczający ją gaz przenikało do kabiny obeszładniające zimno stratosfery.

Timofiej przyłożył rękę do gorących ścianek skrzynki i siedział bez ruchu. Zdawało mu się, że przyjemne ciepło rozchodzi się po całym ciele. Uczucie to jednak było zwodnicze: tak czuje się człowiek, który zamarza.

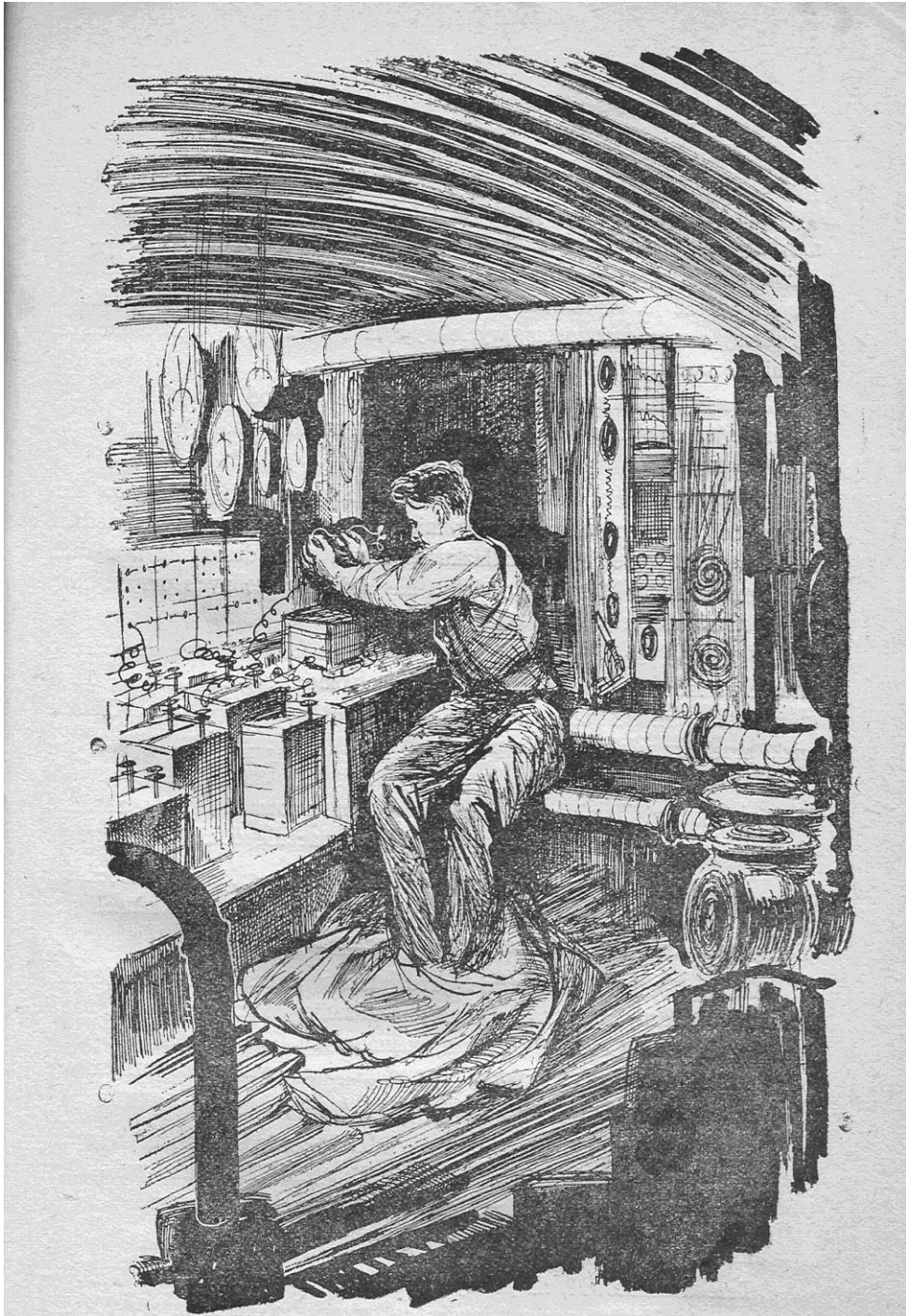
Tim otworzył oczy i spojrzał w otwór wjazdu. Poprzez grube szkło, z lekka zaprószone szronem, widać było oślepiająco białe morze obłoków, po którym ślizgał się tęczy cień sterowca.

Babkina nic nie interesowało. Zasypiał.

Dał się słyszeć lekki trzask na tablicy rozdzielczej przyrządów. Timofiej drgnął. Co się tam mogło stać? Ledwo powłóczę nogami zbliżył się do tablicy i zaczął oglądać przyrządy. Czyżby któryś z nich zepsuł się?

Rzeczywiście! W jednym z aparatów pękła szklana rurka. Przezroczysty płyn wyciekał z niej cienką strugą. Jeszcze minuta, a przyrząd przestanie działać. To znaczy, że tam, na ziemi, nikt nie usłyszy jego sygnałów.

Skostniałymi palcami próbował Tim zacisnąć pęknięcie, lecz palce odmawiały mu posłuszeństwa. Wydawało się, że jeszcze chwila, jeszcze jeden wysiłek, a pęknie skóra na dłoniach. Babkin chuchał na ręce, starając się ogrzać je. Wydawało mu się, że do akumulatorów jest za daleko. Rozcierając ręce spirytusem, wyciekającym z rurki, Tim znowu zaciskał pęknięcie w szkle.



Babkin wziął kilka akumulatorów, połączonych szeregowo i przyłączył do dwuwoltowej skrzynki

Już ani jedna kropla spirytusu nie sączyła się spod jego pal-
w, które śmiertelnym chwytem zastygły na rurce przyrządu i
oże już nigdy nie rozewrą się...

Gdyby profesorowi Demidowowi, wynalazcy nowych przy-
rządów służących do pomiarów natężenia promieniowania
kosmicznego powiedział ktoś, że powodzenie jego wynalazku
spoczywa teraz dosłownie w rękach młodego technika, który
nigdy dotąd nie widział podobnych przyrządów, to chyba nie
uwierzyłby w to.

Wszystkie jego aparaty, rozmieszczone na obwodzie gigan-
tycznego latającego laboratorium, połączone były za pomocą
scentralizowanego systemu sterowania z radiostacją znajdującą
się pośrodku dysku. Cienkie rurki przekazywały do komór pary
spirytusu. (Właśnie pękła jedna z tych rurek).

Profesorowi Demidowowi udało się skonstruować komory z
silnie skoncentrowanym polem magnetycznym, co znacznie
obniżyło ich wagę.

W każdej z nich były ustawione ołowiane płyty o różnej
grubości. Na dole — tam, na ziemi — laboranci oznaczali na spe-
cjalnych ekranach stopień przenikania promieni kosmicznych
przez te przegrody.

Komory Demidowa znacznie przewyższały znane uczone
liczniki cząstek kosmicznych. Pozwalały na prowadzenie do-
kładnych obserwacji i analizowanie właściwości promieni ko-
smicznych. Znani specjaliści przypuszczali, że wynalazek ten
pozwoli przeniknąć wiele tajemnic związanych z tą dziedziną
nauki.

Babkin nic o tym wszystkim nie wiedział. Po prostu zepsuł
się teraz jeden z przyrządów. Babkinowi jest obojętne jaki. Tak
samo zaciskałby szparę w skrzynce akumulatora, jeżeliby przy-
padkowo powstała.

Jak już jest tutaj, to wszystkie przyrządy powinny działać.

„Trzeba zanotować, na jakiej wysokości pękła rurka myślał Tim. — Na dole inżynierowie zorientują się, co było powodem tego, czy różnica ciśnienia, czy też mróz“...

Tracąc niemal przytomność, stał z podniesioną ręką przy tablicy rozdzielczej i myślał, jak długo będzie mógł wytrwać, czy prędko zakończy się ta męcząca próba.

Nie, tak nie można! Krople toczyły się po szkłe, jak łzy żywicy po pniu brzozy.

Tim wsunął rękę do kieszeni. „Czym by tu silnie ścisnąć rurkę?“. W kieszeni nie ma nic... Tylko pręcik stałego kondensatora z jakiegoś przyrządu. Babkin obejrzał go i zauważył, że jest z obu stron wypełniony jakąś masą. Trzeba ją roztopić.

Tim podszedł do akumulatora i przepuścił prąd przez przewód owinięty dokoła kondensatora. Rozgrzana masa pociekła po papierowej rurce. Teraz zalać szkło! Prędeej, zanim zastygnie roztopiona masa! No... zdaje się, że mniej cieknie. Trzeba silnie owinąć papierem.

Babkin wyrwał kartkę z zeszytu Dimki. „Szkoła męstwa“ — przeczytał na kartce i silnie owinął nią szklaną rurkę przyrządu.

Przepoił papier płynną masą i spojrzał na naprawiony przyrząd. Przez plaster nie sączyła się już ani jedna kropla spirytusu.

Timofiej westchnął z ulgą i spojrzał przez okienko wjazdu.

Nie mógł określić, na jakiej wysokości znajduje się teraz latające laboratorium, lecz to, co zobaczył w dole, wydawało mu się nieprawdopodobne.

Pogoda była wyjątkowo piękna. Morze Kaspjskie ze wszystkimi swoimi zatokami lśniło jak odlane ze srebra. Obok zarysowywało się Morze Czarne.

Półwysep Krymski wydawał się nie większy od pięciokopiejkowej monety... Wołga, Don i Dniepr wyglądały jak cienkie niteczki.

Babkinowi wydawało się, że stąd, z tej wysokości, widzi wszystko w promieniu około dwóch tysięcy kilometrów. Na ziemi leżały olbrzymie czarne plamy. To cienie obłoków. W okręgu rostowskim zachmurzyło się teraz. Taka sama pogoda jest w okolicy Batum.

Babkin nie mógł oderwać oczu od włązu. Mimo woli zdawało mu się, że znajdzie na tej „mapie” również granice ojczystego kraju. Trzeba sprawdzić, na jakiej wysokości leci. Tim wziął słuchawki, nałożył je i pomyślał, że latające laboratorium już na pewno całe pół godziny znajduje się na tej samej wysokości. Nie zauważył, aby wznosiło się wyżej. Może to już pułap?

Coś zaświstało w dole, pod samym włączem. Potworna siła przycisnęła Babkina do podłogi i poczuł gwałtowne wzniesienie w górę.

16. DECYDUJĄCE CHWILE

Po raz pierwszy w historii przeprowadzano badania promieni kosmicznych za pomocą tak skomplikowanych prób, z dziesiątkami przyrządów wzniesionych na dotychczas nieosiągalną wysokość.

Zespoły przyrządów znajdujące się w latającym laboratorium miały przekazywać przez radio wyczerpujące dane, według

których można byłoby określić istotę cząstek kosmicznych usiłujących dolecieć do ziemi. Te niewidoczne cząstki posiadają olbrzymią energię, znacznie większą niż promienie gamma otrzymywane w laboratoriach na ziemi. Niektórzy uczeni przypuszczają, że te tajemnicze pierwotne cząstki, lecące ku nam z dalekich głębin wszechświata, nie docierają do nas, ponieważ tracą energię na stworzenie innych znanych badaczom cząstek — mezonów.

Podobne przeobrażenia zachodzą przy zderzeniu się promieni kosmicznych z atomowymi jądrami powietrza.

Zarówno tę kwestię, jak i szereg innych, miał zbadać profesor Demidow za pomocą latającego laboratorium.

W laboratorium ustawionym na szczycie góry Ałagez uczeni radzieccy już szereg lat pracują nad zbadaniem promieni kosmicznych. Zgromadzono duży materiał naukowy. Dlatego też nie było przypadkiem, że profesor Demidow zdecydował się wznieść wynalezione przez siebie aparaty do jonosfery właśnie na Kaukazie. Chciał kontynuować doświadczenia swoich poprzedników, badając promienie kosmiczne już na innych wysokościach.

Miał zamiar sprawdzić działanie promieni kosmicznych na szeregu substancji. Specjalne przyrządy z różnymi substancjami były rozmieszczone na obwodzie dysku, w sąsiedztwie kamer.

Na dole, na taśmach przyrządów samopiszących i na dziesiątkach oświetlonych ekranów, rejestrowano nawet najbardziej nieznaczne zmiany zachodzące w substancjach. Jest rzeczą wiadomą, że pod silnym działaniem energii, zdolnej rozbić jądra pojedynczych atomów, można przekształcić jeden pierwiastek w drugi: na przykład, metal lit — w gaz — hel.

Czy promienie kosmiczne zdolne są dokonywać takich cudów?

Demidow, starając się nie przeszkadzać operatorom, cicho chodził wzdłuż stołów zastawionych aparatami. Zatrzymywał się koło każdego przyrządu i zza pleców technika spoglądał na oświetlony ekran lub powoli obracający się bęben samopiszącego urządzenia.

Na ekranach zapalały się błękitne gwiazdeczki; toczyły się one jak po nocnym niebie i gasły gdzieś w dole (obok gałek służących do nastrajania aparatu i regulowania ogniskowej, jeżeli chcemy opisać to zjawisko dokładnie).

Niewidoczne i tajemnicze cząstki materii dostawały się do obiektów kamer latającego laboratorium i przechodząc przez odpowiednie przyrządy, przekształcały się w impulsy radiowe. Mknęły w dół, do tej sali, aby zabłysnąć na ekranie jako zwiastuny ginącego, bądź też rodzącego się świata. Świata dalekiego, oddalonego może od ziemi o miliony lat świetlnych.

Obserwatorzy-technicy ze skupieniem, rzeczowo zapisywali na poliniowanych kartkach wszystko to, co widzieli na ekranach.

Strumienie ulewy zakreślały niebieskimi nitkami słabo świecące granatowe prostokąty pod zaciemniającymi daszkami, jak gdyby cały ekran zalewały niekiedy bryzgi zimnego, fosforyzującego płynu. Być może, że w tej chwili ginęły gdzieś wysoko nowe ilości jąder powietrza.

Nareszcie rozpoczęły się główne próby. Profesor Demidow przygotowywał się do nich przez okres trzech długich lat. Zdawało mu się, że żadna latająca konstrukcja nie będzie w stanie unieść całego kompletu przyborów niezbędnych do wszechstronnego zbadania zagadnień, którym profesor poświęcił połowę swego życia.

I oto przed godziną, gdy latający dysk osiągnął swój pułap, nadeszły decydujące chwile. Trzeba było włączyć silnik odrzutowy, umieszczony na dole, w centrum dysku.

Teraz, nie zużywając już materiału pędnego na pokonanie oporu powietrza, latające laboratorium powinno było wznieść się poza obręb stratosfery.

Była to denerwująca chwila.

Deriabin wyszedł do sąsiedniego pokoju, w którym mieściła się radiostacja. Stamtąd włączył silnik.

Cisza. Oczy wszystkich skierowane były na bęben, na którym jak się wszystkim wydawało, piórko ledwie znaczyło prostą linię wysokości.

Demidow dobrze pamięta tę chwilę.

Piórko drgnęło i posunęło się w górę.

— Trzydzieści pięć kilometrów! — ochryplym nagle głosem powiedziała dziewczyna śledząca Wysokościomierz.

Potem profesor znów rozmawiał przez telefon: Moskwa dowiadywała się, jak idą próby. Demidow powiedział, że na razie wszystko w porządku.

Chciałby, aby latające laboratorium wzniosło się na wysokość ponad stu kilometrów.

Demidow przypomniał sobie, że w tej chwili pomyślał nagle o tym, iż wkrótce ludzie będą ustanawiać rekordy wysokości gdzieś w granicach jonosfery... Trudno będzie aeronautom wznieść się wyżej. Kto wie, jak zareaguje człowiek na silny strumień promieni kosmicznych z dalekich światów...

17. PRZYJACIEL Z ODLEGŁYCH LAT

--- Wujaszku, wujaszku! — jak przez sen usłyszał Dim głos chłopięcy. — Co się wam stało?...

W tej samej chwili Dim poczuł, że wlewa mu się do gardła zimna woda. Zakrztusił się i otworzył oczy.

Przed nim przykucnął czarnooki chłopczyk, trzymający w ręku blaszany garnuszek. Patrzył z ciekawością i współczuciem na rannego człowieka, który nie wiadomo skąd zjawił się w tych stronach.

Dim poczuł na czole mokrą szmatkę, która przyjemnie łagodziła ból. Chłopczyk uniósł głowę Dima i przytrzymując tą samą ręką szmatkę, przyłożył mu do ust garnuszek.

Przełknąwszy parę łyków Dim przyszedł do siebie i ze zdziwieniem podniósł oczy. Bosy, w samych spodenkach tylko, opalony jak Murzynek chłopczyk uśmiechał się do niego. Nawet wijące się włosy chłopca podkreślały jego podobieństwo do Murzynka. Wyglądał na dziesięć lat.

Chłopiec zajrzał do garnuszka, wylał z niego resztki wody i pobiegł w kierunku wysokiego, urwistego zbocza. Tam wziął garnuszek w zęby i zaczął wspinać się pod górę, czepiając się wystających korzeni drzew i kępek trawy. Czasem zawisał na jednej ręce i odwracając się całym ciałem w stronę Dima, spoglądał na niego z niepokojem i surowo zarazem.

Powrót był jeszcze trudniejszy. Przede wszystkim chłopczyk bał się rozlać wodę, musiał więc balansować na dwudziestometrowej wysokości, posługując się przy schodzeniu tylko jedną ręką i zwinnymi nogami.

Wreszcie zeskoczył na trawę, nie wylewając z garnuszka ani jednej kropli wody.

Podskakując w biegu, zadowolony z samego siebie, a przede wszystkim z „wujaszka“, któremu widocznie zrobiło się lepiej, gdyż uniósł się teraz na łokciu i zupełnie już przytomnym wzrokiem spoglądał na niego, chłopczyk podbiegł do Bagrecowa i chciał zdjąć z niego marynarkę, aby przemyć ranę w boku, którą już zdążył zauważyć.

— Dziękuję — powstrzymał go Dim próbując usiąść. — Daleko stąd do wsi?

— Do kołchozu — poprawił go malec. — Nie dojdziecie, trzeba iść przez górę.

— A ty prędko dobiegniesz? — zapytał Dim patrząc na słońce.

— W ciągu dwudziestu pięciu minut — dokładnie i z poważną miną odpowiedział chłopiec spojrzawszy na rękę. Teraz dopiero Dim zauważył, że jego nowy towarzysz oprócz spodenek nosił jeszcze zegarek. Było to tak niezwykle i wzruszające, że Dim uśmiechnął się mimo woli.

Chłopczyk zauważył, że Dim spogląda na jego zegarek, i uroczyście powiedział:

— Kołchoz mi podarował.

— Za co?

— Ot, tak — chłopiec zmieszał się widocznie — przepędziłem wilka...

— Słuchaj, chłopcze — Dim chwycił go za rękę. — Biegnij szybko do twojego kołchozu. Macie telefon?

— Naturalnie, że jest — z dumą odrzekł malec. — Jakże moglibyśmy żyć bez telefonu.

— Powiedz, żeby wezwano międzymiastową. Kijów... numer... Ale ty nie masz na czym zapisać...

— Po co zapisywać? Zapamiętam.

— Nie, nie — zaniepokoił się Dim szperając po kieszeniach.
— Omyłka jest niedopuszczalna. Człowiek zginie.

Notatnika nie było w kieszeni. Wadim wyciągnął pióro. Ma-
lec spojrział z zakłopotaniem na swoje pobrudzone smołą dłonie.

— Pisz — rzekł wysuwając pierś naprzód. — Tylko duże cy-
fry.

Bagrecow nakreślił numer na jego ciele i opowiedział
chłopcu o sobie i o tym, co trzeba powiedzieć Deriabinowi lub
Ani. Podczas gdy Dim mówił, chłopiec drżał z niecierpliwości:
czuł, że wymaga się teraz od niego czegoś niezmiernie ważnego,
z czym się nigdy w życiu nie spotkał.

Chciał już pobiec, gdy nagle zatrzymał się jeszcze.

— Poczekajcie, przesunę was w cień — rzekł usiłując pod-
nieść Wadima za ramiona. — Tutaj będzie bardzo gorąco.

Bagrecow sam podniósł się i o mało nie upadł.

— Trzymajcie się mojego ramienia — rzekł chłopiec. — Nie
bójcie się, teraz nie upadniecie. A jeżeli zjawi się tu ktoś przede
mną — dodał rzeczowo — powiedzcie, żeby was zanieśli prosto
do domu Karpowów.

— Dokąd, dokąd — zapytał Dim ze wzruszeniem.

— Powtarzam — Karpowów. To znaczy do mnie, do Jurka.
Zostaliśmy tutaj sami z matką. Przyjechaliśmy w czasie wojny i
tak mieszkamy.

Wadim oparł się na chudym, dziecinnym ramieniu i czuł, że
ten na razie jeszcze małeńki radziecki człowiek może być tym
przyjacielem z odległych lat, przyjacielem, którego sam sobie
wymyślił...

18. ŻAR I MRÓZ

Babkin zrozumiał, że latający dysk wznosi się w górę. Wydawało mu się, że całe ciało stało się ciężkie jak z żelaza. W pierwszej chwili nie mógł nawet podnieść ręki ani oderwać nóg od podłogi, tak nieprawdopodobny wydawał mu się własny ciężar.

Wkrótce zaczął przyzwyczajać się do tego uczucia. Nachyliwszy się nad lustrzanym włazem, technik zobaczył, że ziemia spowiła się w niebieską mgłę, a tylko srebrzyste morza przeświecały poprzez błękit, jak napełnione rtęcią.

Timofiej spojrział na zegarek. Teraz powinna być audycja... Nałożył słuchawki. W słuchawce piszczwały dziwne i niezrozumiałe głosy. Widocznie nadawany był jakiś bardzo skomplikowany zespół sygnałów.

Poprzez te piskliwe głosy Tim słyszał trzask włączanych i wyłączanych przekaźników, świst silników...

Timofiej otarł pot z twarzy. Co to takiego? Dlaczego zrobiło mu się tak gorąco?

Rozejrzał się dokoła. Po ścianach kabiny ściekały cienkie strużki: to roztajał szron. W ciągu (kilku minut strugi zniknęły i zmieniły się w parę.

Było tak gorąco i duszno jak w łaźni. Babkinowi wydawało się, że to silnik tak nagrzał kabinę, lecz wkrótce odrzucił to przypuszczenie, ponieważ kabina rozgrzewała się ze wszystkich stron równomiernie.

Może na zewnątrz pali się izolacja cieplna? Nie, tam nie może się palić. Dysk wzniósł się tak wysoko, że na pewno nie ma tu już tlenu.

Technik rzucił się do drzwi prowadzących na korytarz. Stamtąd wybuchnęło na niego rozpalone powietrze. Może to tam się pali?

Babkin przypomniał sobie pożar stratostatu. Ludzie wyskoczyli z niego na spadochronach. A on? Cóż on może zrobić?...

Zatrzasnął drzwi i przypadł do gorącego szkła. Ziemia daleko... Dzieli go od niej może czterdzieści lub pięćdziesiąt kilometrów...

Tim odniósł wrażenie, że trzeszczą mu włosy, pęka skóra na twarzy, oczy pokrywają się twardą skorupą i trudno już jest patrzeć.

Lecz dlaczego, dlaczego szkło jest takie gorące, że nie można go dotknąć? Przecież nie powinno się rozgrzewać. Tam — za tą przezroczystą przegrodką panuje mróz!

Upał wzmagał się ciągle. Zdawało się, że ścianki kabiny rozgrzały się do czerwoności, jak gdyby buszował za nimi niewidzialny płomień.

*

* *

W zarządzie kołchozu dyżurował Gorobiec. Pisał sprawozdanie z przebiegu swojej podróży służbowej. Jutro opuści na zawsze te gościnne strony i — kto wie? — może jeszcze kiedyś zatęskni za tymi zboczami górskimi, których nie ma u niego na Czernichowszczyźnie.

— Prędeż, towarzyszu Gorobiec, zamówcie Kijów — jeszcze w drzwiach krzyknął Jurek. Zadyszany od szybkiego biegu, oparł się o odrzwia i nic nie mówiąc wskazywał na swoją pierś, starając się zwrócić uwagę Mikołaja.

— A to diabeł! — uśmiechnął się Gorobiec — krzyczy, jakby z nieba spadł.

— To nie ja... Wujaszek spadł.

— Skąd?

— Przecież sami powiedzieliście — rozgniewał się Jurek na niepojętnego Mikołaja. — Z nieba!

Nie było czasu na dokładne wyjaśnienia. Chłopiec szybko opowiedział to, co mu przekazał Bagrecow.

Gorobiec zrozumiał, że teraz wszystko zależy od tego, jak szybko zdoła zawiadomić Kijów. Najpierw trzeba połączyć się przez miejscowy telefon z ośrodkiem rejonowym, a następnie zamówić stolicę Ukrainy.

Linia była zajęta. Na próżno Gorobiec żądał błyskawicznej rozmowy. Na miejscowej linii nie można jej było uzyskać.

Wreszcie połączono go z instytutem. Był to dzień świąteczny, ale mimo to dyżurny powinien być na miejscu. Znowu nie wiedzie się! Dyżurnego wezwano do naczelnika. Gorobiec długo czekał, szarpiąc sznur od słuchawki.

— Proszę inżyniera Deriabina! — krzyknął usłyszawszy głos dyżurnego.

— Jest bardzo zajęty i nie może podejść do telefonu.

— No to... radiotelegrafistkę Anię.

— Także zajęta. Proszę zadzwonić później.

— Nie mogę — zdenerwował się Mikołaj — muszę z nimi mówić natychmiast.

— A kto mówi ?

— Gorobiec... Tutaj, rozumiecie...

Nic więcej nie zdołał Mikołaj powiedzieć. W słuchawce zatrzeszczało coś i obojętny głos telefonistki przerwał rozmowę, ponieważ upłynął czas.

— Towarzyszu Gorobiec — pociągnął go za rękaw zmar-
twiony posłaniec — wujek powiedział, że ci ludzie koniecznie
powinni coś zrobić.

— Ale dyżurnego tam mają, niech go cholera! Tutaj by się
nauczył, jaki powinien być dyżurny...

I Mikołaj zaczął z wściekłością na nowo kręcić korbką tele-
fonu.

*

* *

W kabinie latającej stacji meteorologicznej, na gorącej meta-
lowej podłodze leżał technik laboratorium nr 9, Timofiej Babkin.

Jak wyciągnięta z wody ryba łapczywie chwycił powietrze
szeroko otwartymi ustami i patrzył na karbowany sufit, na któ-
rym drżał niebieski odblask dalekiej ziemi czy też obłoków.

Żar zmniejszał się stopniowo. Stygły ściany kabiny, a Babkin
czuł, że i rozpalona płyta pod nim (taka wydawała mu się podło-
ga w kabinie) także stała się trochę chłodniejsza. Timofiej pod-
niósł się i chwytając rękami drążki konstrukcji, przysunął się do
przrzędów.

Zaczął dokładnie oglądać szklane rurki, czy któraś z nich nie
pękła. Nie, wygląda jakby wszystko było w porządku. Tylko
zaklejona przez niego rurka przepuszczała nieco płyn. Trzeba
poprawić. Raz jeszcze mocno owinął ją papierem przepojonym
olejem z kondensatora i zaczął oglądać akumulatory. Dziwne, że
nie popsuły się pod wpływem gorąca.

Lecz co spowodowało taką diabelską temperaturę? Trzeba
zanotować. Otworzył zeszyt Dimki, spojrzął na zegarek i zaczął
zapisywać. Kto wie, co może stać się z nim na tej diabelskiej
wysokości. I nikt nawet nie dowiedziałyby się, co za dziwne zjawi-
ska zachodziły w latającym laboratorium.

Dreńczyło go pragnienie. Trudno było poruszyć językiem, jak gdyby całe usta były napełnione gorącym piaskiem. Dostał się już do gardła. Trudno oddychać.

Timofiej zamknął oczy i znowu ujrzał Dimkę... Wymachiwał rękami i mówił coś bezdźwięcznie...

Nagle usłyszał nad uchem znane mu od dzieciństwa brzęczenie, które przedarło się jakimś cudem przez zaciekle syczenie i wycie silników odrzutowych.

Babkin machinalnie machnął ręką i zwykła pszczoła z złotym, prążkowanym brzuszkiem upadła na zeszyt. Niezgrabnie przebierając nóżkami, zaczęła szybko wędrować po zapisanej stronie.

Widocznie ten niespodziewany gość z ziemi ukrył się gdzieś przy ciepłym silniku stacji meteorologicznej. Technik patrzył na pszczołę z utajoną radością. Nie był sentymentalny, lecz wzruszyło go to żywe stworzenie, które tak przypadkowo jak on znalazło się w jonosferze.

Spoglądał na trzepocące, połyskliwe skrzydełka, na kosmate nóżki i bał się poruszyć, żeby nie spłoszyć pszczoły.

Babkin pomyślał mimo woli, że właściwie jest w tym samym co ona położeniu. Tak samo jest bezsilny tutaj, na tej wysokości. Nic nie będzie mógł poradzić, nawet jeżeli ta rakieta o kształcie dysku pomknie na spotkanie mrozu przestrzeni kosmicznych. Na spotkanie śmierci...

Tim przypomniał sobie, że montowany przez niego przerywacz wypróbowywano w komorze cieplnej, w specjalnych warunkach, przy temperaturze stu pięćdziesięciu stopni zimna! Wtedy jeszcze dziwił się, lecz teraz dopiero zrozumiał, po co to było potrzebne. Kabina ma co prawda izolację cieplną i otoczona jest gazem, ale czy to wszystko wystarczy, aby zabezpieczyć

żywą istotę przed temperaturą dwustu siedemdziesięciu stopni mrozu ?

Babkin wzdrygnął się i skulił. Rzeczywiście zrobiło się zimno. Spojrzał na lustrzany właz i zobaczył, że szkło znowu pokryło się szronem.

Timofiej ostrożnie położył na podłodze zeszyt z pełzającą po nim pszczołą, przysunął się do okna i zaczął zlizywać orzeźwiający pył śnieżny.

*

* *

Rakieta w kształcie dysku pionowo wznosiła się w górę z szybkością samolotu pasażerskiego. Stopniowo i bez pośpiechu unosiła swoje liczne przyrządy najpierw przez gęste powietrze troposfery, potem minęła warstwę ozonu, spokojnie przeszła przez niewidoczną zjonizowaną warstwę „D” (która stanowi przegrodę dla długich fal radiowych), a obecnie docierała do warstwy „E”.

Nasza atmosfera — to jak gdyby przekładaniec; przy tym mniej więcej zbadane są tylko dolne jej warstwy — cienka skóreczka (jeżeli trzymamy się porównania z przekładańcem); pozostałe warstwy są na razie jeszcze „ciemne” i tajemnicze. Dlatego przeprowadzenie swoistego „przekroju atmosfery” za pomocą rakiety z przyrządami przydało się bardzo do zbadania „ciemnych warstw”.

Rakieta, na której leciał teraz technik Babkin, dokładnie przekazywała na ziemię wszystkie właściwości nie zbadanych dotąd warstw. Inżynier Deriabin przypuszczał, że z danych przekazanych przez aparaty latającego dysku w ciągu jednej tylko doby badań — można zestawić cały tom. Nic podobnego nie zawierała historia badań oceanu powietrznego.

Prawdopodobnie teraz dopiero Babkin pojął zupełnie dokładnie, do czego zmierzają badania, których był mimowolnym świadkiem.

...Jak w bajce, w której na słowo czarnoksiężnika nagle nastaje wiosna, tak i teraz w oblodzonej kabinie znowu nastąpiła już nie wiosna, lecz upalne lato.

Nieufny i rozważny Babkin nie spodziewał się tego wcale. W bajki nie wierzył. Z lekceważącym uśmiechem patrzył, jak w samym środku puszystego szronu pokrywającego okna ukazywały się cienkie, jasne żyłki, które, rozszerzając się stopniowo, zamieniły się w strumyczki i popłynęły na wszystkie strony.

Śnieg znikał z wypukłego szkła, jak z pagórka, pod działaniem wiosennego słońca.

Zrobiło się ciepło. Zniknął mróz przestrzeni kosmicznych, o którym myślał Timofdej przed chwilą. Nie mógł uwierzyć w te cuda. Wiedział, że rakieta nie opada, lecz leci w górę.

Babkin nachylił się nad mokrym szkłem i ujrzał ziemię. W pierwszej chwili nie pojął nawet, co to jest? Czy to obłoki, czy góry? Naturalnie, że obłoki. Ale jak daleko!... Odwróciwszy głowę na prawo, Timofiej wreszcie zauważył, że na samym skraju obłoków uwypukla się ziemia. Właśnie „uwypukla się”, ponieważ rzeczywiście jest okrągła. Możliwe, że dopiero z tej wysokości ziemia wydaje się podobna do kuli. Brzeg jej znika w liliowej głębinie... Tak, taki wydaje się stąd horyzont. I mimo woli nasuwa się dziwna myśl: „Może to jest „kraniec ziemi?” Jeden nieważny krok, i już — lecisz w kosmos.

Babkin znów doznał uczucia chłodu. Lecz było to tylko pod wpływem zdenerwowania. Do kabiny powracał znowu tropikalny upał. Zawładnął nią całą, wysuszył i rozgrzał powietrze. Pszczoła, jak gdyby ożyła po śnie zimowym, uleciała z zeszytu i

uderzyła o szkło... A w dole, setki kilometrów tego okrągłego okna, w promieniach słońca rozkwiatały kwiaty.

Trzaskający mróz — i tropikalny żar!

Zimno — i znowu upał nie do zniesienia!... Męczący i niedorzeczny sen! Babkin nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje.

Nagle szklane rurki na suficie, prowadzące do przyrządów, zaśniły fioletowym blaskiem. Napełnione płynami, grubościennymi kolby rozbłysły jaskrawozielonym światłem. W kolbie umieszczonej pod samym sufitem zadrżało światełko mieniące się wszystkimi kolorami tęczy.

W pierwszej chwili Babkin zmieszał się; pomyślał, że teraz może nastąpić wybuch. Lecz to przykre uczucie szybko minęło. Tim zebrał myśli i postanowił zanotować w zeszycie wszystkie te niezrozumiałe zjawiska.

Skrupulatnie i dokładnie zapisywał czas, długość trwania jarzenia i rodzaj reakcji. Wierzył, że to się przyda.

Babkin spojrział na okno. Po szkle miotła się pszczoła.

Nagle z rąk wypadł mu ołówek, pociemniało w oczach i o mało nie spadł z poprzeczki konstrukcji, na której siedział.

To nic... To pewno pod wpływem upału.

Jednak nowe, straszne i niezrozumiałe zarazem uczucia zmusiły Babkina do zebrania wszystkich sił, by nie stracić przytomności.

Zdawało mu się, że z góry leje się na niego roztopiony metal. Palące strugi wiły się po ciele, jak ogniste żmije.

Straszny domysł przemknął nagle przez myśl Babkinowi. „Czy to nie promienie kosmiczne ?“ Przeszywały one swoimi śmiertcionośnymi igłami metalową konstrukcję kabiny, jakby była z papieru.

Przed tymi promieniami nigdzie się ukryć nie można. Ani mróz, ani upał nie powstrzymały Babkina: wszystko zniósł,

wszystko przecierpiał, byleby tylko nie przerwać tego niezwykłego lotu. Lecz co robić teraz? Zatrzymać !

Ale jak? Babkin nie wie przecież, gdzie znajduje się przełącznik wyłączający motory.

Wyłączyć zasilenie? Niemożliwe. Zamrą wszystkie aparaty i wtedy na pewno przerwą się wszystkie rozpoczęte reakcje.

Nie. to wszystko go nie uratuje. Wystarczy tylko wyłączyć motor, a całe laboratorium mnie w dół, niczym już nie powstrzymane w rozrzedzonej atmosferze. Gdzieś niedaleko ziemi uderzy o gęste powietrze i rozbije się.

Trzeba lecieć w górę, na spotkanie śmiercionośnych promieni!

Babkin bezsilnie osunął się na podłogę i podpełzł do włącznika. Na szkłe leżała nieruchoma pszczoła.

Rakieta kontynuowała swój lot.

*

* *

Dyżurny rady wiejskiej, Mikołaj Gorobiec, dodzwonił się wreszcie ponownie do dyżurnego instytutu naukowo-badawczego.

Ten powiedział mu, że teraz również nie może zawiadzać do telefonu ani inżyniera Deriabina, ani jego pomocnicy.

— Dlaczego? — zmieszał się Gorobiec. — Znowu zajęci. — Ale ja...

— Wyjechali w podróż służbową — spokojnie zakomunikował dyżurny.

19. PRÓBY TRWAJĄ NADAL

Na maleńkim lotnisku szkoły lotniczej, położonym w odległości kilkudziesięciu kilometrów od kołchozu, w którym dyżurował Gorobiec, lądował duży samolot transportowy.

Uczniowie wybiegli z budynku i ze zdziwieniem patrzyli na dziwnego gościa. Co mu się przytrafiło? Może przymusowe lądowanie?

Jak się jednak potem dowiedziano, jeszcze wczesnym rankiem kierownik szkoły otrzymał radiogram, w którym uprzedzono go, że na lotnisko przybędzie samolot ze specjalnym zadaniem.

Już jest na ziemi. Śmigła leniwie zakreślają w powietrzu błyszczące linie i zatrzymują się.

Uczniowie podbiegają do drzwi kabiny. Stamtąd wysuwa się lekka drabinka, a po niej schodzi na dół dziewczyna. Surowym wzrokiem obrzuca uśmiechających się młodzieńców w letnich kombinezonach i ci od razu poważnieją.

Pasażerka ta bierze widocznie bezpośredni udział w specjalnym zadaniu. Rzeczywiście, chłopcy mieli rację. Ania odgrywała bardzo ważną rolę w końcowym etapie badań.

Z kabiny wyszedł konstruktor Pojarkow, inżynier Deriabin i profesor Demidow. Za nimi wychodzili stopniowo i inni pracownicy instytutu, biorący udział w próbach latającego laboratorium.

Podstawowe badania były zakończone, a teraz należało tylko powtórzyć, już na miejscu lądowania laboratorium, niektóre punkty z obszernego programu prób.

Demidow od razu odszedł na bok i starając się ukryć niezrozumiałe dla jego przyjaciół zdenerwowanie, zagłębił się w notatkach dotyczących ostatniej godziny prób.

— Dobrze, lotnisko jest odpowiednie — odezwał się z radością Pojarkow, rozglądając się na wszystkie strony. — Najważniejsze, że jest osłonięte przed wiatrem. Myślę, że dzisiaj pod wieczór spokojnie ściągniemy na ziemię dysk. Można powiedzieć — wprost na maszt radiostacji.

— Trzeba ją najpierw zmontować — zauważył Deriabin. — A poza tym wątpię, by Aleks jej Fomicz specjalnie śpieszył się z lądowaniem. Chciał jeszcze sprawdzić krzywą temperatur na znacznych wysokościach, a potem na nowo ustalić ją już przy lądowaniu dysku. Co prawda — inżynier zniżył głos — nie jest to dla niego najważniejsze. Zauważyliście, jaki był zdenerwowany przed odlotem tutaj. Rzadko zdarzało mi się widzieć takim Aleksieja Fomicza... Jeśli o mnie chodzi, to także popatrzyłbym chętnie na ponownie zanotowaną na taśmie temperaturę stratosfery i jonosfery. Ma to bezpośredni związek z pogodą. Zresztą — dodał z uśmiechem — może po tych wszystkich próbach macie jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące tej konstrukcji, obliczonej na długotrwałe wznoszenie?

— Ale gdzie tam, co wy mówicie!... — odrzekł zmieszany konstruktor. — Teraz już nie ma żadnych wątpliwości. Nawiasem mówiąc, znani specjaliści zwalczali stosunkowo niedawno teorię o istnieniu ciepłych warstw w stratosferze. Nie przypuszczali, że w stratosferze nagromadzona jest wielka ilość ozonu, pochłaniającego intensywnie promienie ciepłe.

— Na razie jednak to, że ciepły pas w stratosferze tworzy się wskutek nagrzewania ozonu promieniami słonecznymi — jest jeszcze tylko przypuszczeniem — odpowiedział Deriabin. —

To nic, mój drogi — dorzucił z uśmiechem — rozszyfrujemy wszystkie notatki i wtedy sprawdzimy.

— Dobrze, że analizator powietrza *zaczął* znowu działać na dużej wysokości. Przy opracowywaniu notatek dowiemy się, ile ozonu zawiera pas cieplny. Jest to również bardzo ważne dla prognozy pogody.

— Nigdy nie przypuszczałem, Borysie Zacharewiczu — rzekł konstruktor w zamyśleniu, że stratosfera była tak dalece nie zbadana. Stwierdziliśmy, że powyżej trzydziestu pięciu kilometrów rozpoczyna się pas cieplny. Na wysokości około pięćdziesięciu kilometrów temperatura jego dochodzi do siedemdziesięciu pięciu stopni. Kto by pomyślał przedtem, że tam, w górze, jest goręcej niż w Afryce! A potem znowu jest mróz i dopiero na wysokości około osiemdziesięciu kilometrów rozpoczyna się drugi pas cieplny. Nie wiemy o nim nic prawdę. Mówią, że zachodzą tam niezmiernie skomplikowane procesy fizyczne... Ultrafioletowe promienie słońca rozbijają cząsteczki powietrza. Na tej wysokości zderzają się z atmosferą... — Pojarkow zmrużył oczy, spojrzął na inżyniera i dorzucił z westchnieniem: — Ile tajemnic i zagadek! A co się dzieje jeszcze wyżej — trudno nawet snuć jakiegokolwiek przypuszczenia.

— Trzeba zbudować nowe latające laboratorium — zauważył Deriabin z uśmiechem — wówczas nie będzie już żadnych tajemnic. Sądzę — tu spojrzął znad okularów na młodego konstruktora, że dokonacie tego... Jakiś dysk, który można by było wysłać na wysokość, powiedzmy... tysiąca kilometrów...

— Nie — rzekł po chwili inżynier — dysk jest potrzebny jako uniwersalne laboratorium, przewidziane do długotrwałych obserwacji. A tam — spojrzął na bezdenne błękitne niebo — tam pošlemy poprostu raketę z przyrządami i spadochronem.

Przybyli samolotem technicy zaczęli szybko wyładowywać ciężkie skrzynie. Przenosili je bliżej ku brzegowi lotniska i stawiali tam jedną przy drugiej.

Na wysokim maszcie zabłysła w słońcu pierścieniowa antena.

Ania otworzyła jedną ze skrzyń i wyjęła z niej odbiornik. Wszyscy podbiegli do niej.

— Godzinę temu słuchaliśmy audycji — rzekł Deriabin. — Gdzie to było, Aniu? Nie pamiętacie?

— Zdaje mi się, że w rejonie jeziora Sjewan.

Profesor Demidow obliczał coś w swoim notesie. Mrużył oczy, drapał ołówkiem za uchem, gorączkowo przerzucał stroniczki i robił jakieś notatki. Potem, zdenerwowany, zamykał notes i chodził z założonymi do tyłu rękami pośród krzątających się techników. Profesor to nie zwracał na nikogo uwagi, to znów zatrzymywał się nagle przed jednym z nich i długo patrzył mu w twarz, jak gdyby starając się wyczytać z niej odpowiedź na męczące go pytanie. Wreszcie odszedł od radiostacji i pomaszerował po bieżni. Borys Zacharowicz z lękiem spojrział w ślad za nim.

— Czy to wy jesteście towarzysze Deriabin? — zwrócił się do inżyniera niewysoki chłopiec, który właśnie wyszedł z budynku lotniskowej radiostacji, i podał mu arkusik papieru.

— Szybko! — rzekł z pewnym zdziwieniem Borys Zacharowicz i wziął kartkę z radiogramem. Przeczytał ją kilkakrotnie, po czym zamyślił się i wzruszył ramionami.

Trzeba będzie pokazać tę depezę Alekszejowi Fomiczowi. Jakie to przykre! Z powodu jakichś głupich przypuszczeń on, Deriabin, ma zmartwić profesora. Ale oto i on. Idzie tu, w tę stronę. Krok jego jest taki pewny!...

Demidow nic jeszcze nie mówił o wynikach prób, ale Borys Zacharowicz wiedział, że przy takich badaniach nie można nic od razu ustalić; na wszystko jest potrzebny czas.

Aleksiej Fomicz zatrzymał się w odległości dwóch kroków od Deriabina i w milczeniu spoglądał na niego, jak gdyby coś rozważając. Wreszcie westchnął i cicho odezwał się:

— Albo naprawdę tak jest, albo... nic nie rozumiem.

Demidow wziął inżyniera pod rękę i ostrożnie idąc po lśniącej drodze, głucho i powoli cedził słowa:

— To, czego teraz dowiedziałem się o intensywności promieni, przeczy naszym najbardziej śmiałym przypuszczeniom. W żadnym laboratorium na ziemi nie udało się dotychczas otrzymać tak silnego promieniowania radioaktywnego. Na wysokości stu pięćdziesięciu kilometrów, gdzie atmosfera nie zatrzymuje promieni kosmicznych, wykryłem, że pod działaniem tych promieni i innych czynników uzupełniających, w moich przyrządach nastąpiło przekształcenie substancji...

— To znaczy, o ile zrozumiałem, że przy tym wyzwoliła się energia atomowa — przerwał mu Deriabin podniecony. — Tego przecież nie zaobserwowano jeszcze w żadnym laboratorium na świecie.

— Nie wiem — sucho odrzekł Demidow. — W każdym razie przed trzema godzinami zanotowały to zjawisko przyrządy latającego laboratorium. Na razie, co prawda, tylko w jednym urządzeniu.

Borys Zacharowicz milczał, oceniając w całej pełni ważność wiadomości zakomunikowanej mu przez Demidowa. Inżynier wiedział, że dotychczas wykorzystywano jedynie energię atomową nietrwałych pierwiastków radioaktywnych, w rodzaju uranu, a obecnie...

O tym przecież można było tylko marzyć!... „Chociaż — pomyślał Deriabin — energię tę uzyskano na wysokości stu pięćdziesięciu kilometrów. Nie można jej jeszcze przenieść na ziemię“.

— To, co wam teraz zakomunikowałem — przerwał jego rozmyślania profesor — to dopiero początek naszej wielkiej pracy. Dopiero szczegółowa analiza wszystkich materiałów otrzymanych podczas dzisiejszych prób pozwoli nam zbadać działanie promieni kosmicznych. Sądzę jednak, że nam także uda się kiedyś wykorzystać tę wieczną, niewyczerpaną energię. — Demidow zatrzymał się, z niezadowoleniem spojrzął w górę i dorzucił: — Niestety, przyrządy nie potrafiły przekazać na ziemię wszystkiego, co jest nam potrzebne. Jakże chciałbym być w górze, aby na własne oczy zobaczyć wiele niezrozumiałych jeszcze dla mnie zjawisk. Jednocześnie z uzupełniającym sprawdzeniem krzywej temperatur powtórzmy niektóre doświadczenia, ale już na wysokości dwustu kilometrów.

Deriabin wyciągnął już z kieszeni depeszę, lecz znowu ją schował.

— Aleksjeju Fomiczu — zdecydował się wreszcie zapytać inżynier czy koniecznie teraz musicie powtórzyć próby, czy też można by było odłożyć to do jutra?

Deriabinowi było bardzo przykro pytać o to.

— Dlaczego? — wmieszał się Pojarkow, który właśnie podszedł. Dlaczego nie mielibyśmy dzisiaj kontynuować prób? Materiał pędny w balonach wystarczy na wzniesienie do trzystu kilometrów. Zresztą, przecież wy sami, Borysie Zacharowiczu, interesowaliście się krzywą temperatur.

— Zgadza się, ale... — inżynier widocznie nie chciał mówić o powodach, które skłoniły go do zaniechania dodatkowych prób.

— Aniu! — zawołał.

Dziewczyna szybko podbiegła do niego i zatrzymała się czekając milczeniu na jego słowa.

— Wybaczcie, Aleksjeju Fomiczu — zwrócił się inżynier do Demidowa. — Muszę najpierw coś wyjaśnić.

Zwrócił się do radiotelegrafistki i zapytał:

— Czy jesteście pewni, że bućki znalezione koło poligonu widzieliście u jednego z techników przybyłych z Moskwy?

— Mówiłam już przecież.

Demidow ze zdziwieniem przysłuchiwał się rozmowie.

Borys Zacharowicz z westchnieniem wyjął radiogram:

— Nie wiem naprawdę, jak postąpić, Aleksjeju Fomiczu. Nieprzyjemna komplikacja. Na moje polecenie zbadano w instytucie wszystko, co miało jakikolwiek związek ze zniknięciem techników. A teraz, w tym radiogramie zawiadamiają, że bućki mogły zostać zrzucone jedynie skądś z góry, ponieważ nie znaleziono w pobliżu żadnych śladów. Oprócz tego ustalono, że technicy nie tylko nie przybyli na lotnisko, z którego powinni byli odlecieć do Moskwy, ale nie zjawili się również na dworcu...

— Oni są tam — wyszeptała Ania spoglądając w górę.

— Co za głupstwa, dziewczyno! — zaoponował konstruktor. — Wątpliwe, czy z takim obciążeniem mogłoby nasze laboratorium wznieść się na przewidzianą wysokość.

Deriabin spojrzął na słońce chylące się ku zachodowi, na puszyste obłoki, malowniczo drzemiące na szczycie góry, i z westchnieniem rzekł zwracając się do Pojarkowa.

— A może byli w laboratorium? — Podkreślił wyraz „byli“.

— Gdzież tam, Borysie Zacharowiczu? — zaoponował konstruktor. — Nie uważam za możliwe, aby przypadkowi pasażerowie wyskoczyli z kabiny. Spadochronów tam przecież nie było.

— No więc gdzie się podzieli? — z rozdrażnieniem zapytał inżynier.

Ania nic nie odpowiedziała. Podejrzewała w głębi duszy, że zniknięcie młodych techników miało związek z próbami latającego laboratorium. Lecz jak tego dowieść? Nie można przecież opuścić laboratorium na ziemię tylko po to, aby przekonać się, że tam nikogo nie ma.

Profesor Demidow wysłuchał wszystkich dowodów i powiedział stanowczo :

— Trzeba będzie zakończyć na tym próby. Nie mogę pozwolić na dalszy lot, jeżeli jest podejrzenie, że w kabinie zostali ludzie. Dlaczego wcześniej nie powiedzieliście mi o tym? — zwrócił się do Deriabina z wyrzutem.

— Bo ja i teraz w to nie wierzę — odpowiedział inżynier. — A może jednak będziemy dalej kontynuować próby? — z nadzieją w głosie zapytał Demidowa.

— Nie, Borysie Zacharowiczu — surowo rzekł profesor. — Nauka jest nam bardzo droga, jeżeli jednak powstały wątpliwości, czy tam, na górze, nie ma czasem ludzi, to... (wniosek jest jasny...). Ludzie są dla nas oczywiście drożsi.

— Macie rację, Aleksjeju Fomiczu — rzekł konstruktor pochylając lekko głowę.

Po zielonej powierzchni lotniska mknął samochód ciężarowy. Przeciął rozłożoną w kształcie litery „T” płachtę sygnałową i pociągnął ją za sobą.

Na próżno dyżurny, wymachując chorągiewką i krzycząc coś, biegł ku niemu. Na próżno uczniowie starali się zatrzymać go, goniąc i niemal czepiając się wlokącego się za maszyną płótna. Samochód pędził jak oszalały w stronę radiostacji.

Jeszcze chwila, a rozniesie wszystko, co stanie mu na drodze...

Ania stała obok radioodbiorników i rozkładając szeroko ręce starała się jak gdyby zagrozić sobą swoje aparaty.

Samochód zakręcił ostro, przechylił się na moment w stronę radiostacji i zahamował.

Jednocześnie otworzyły się drzwi kabiny, skąd wyskoczyli szofer i Bagrecow. Ostro rzucała się w oczy biała plama bandaża na czole technika.

Wadim podbiegł do Deriabina i nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa podniósł rękę, wskazując na niebo. Technika otoczono ze wszystkich stron. Gdy wreszcie zdołał pokonać zdemerowanie, opowiedział o człowieku, który został w latającym laboratorium.

— Uruchomić silniki! — polecił inżynier.

Najpierw zapanowała cisza, po czym dał się słyszeć szum silnika, dwa-trzy wybuchy w cylindrach i po lotnisku rozszedł się równomierny warkot precyzyjnie działającego motoru.

Deriabin miarowym krokiem podszedł do sterującego urządzenia radiostacji i zamarł w oczekiwaniu. Po upływie minuty znowu włączy urządzenie, kierujące z ziemi latającym laboratorium.

Ania, która nie miała teraz co robić, ponieważ dyżurowała tylko przy odbiornikach, szybko podbiegła do Bagrecowa i ruchem pełnym troskliwości poprawiła mu obsuwający się z czoła bandaż.

Dim odwrócił się, ale Ania i tak zauważyła łzy błyszczące w jego oczach. Zrozumiała jednak, że nie były one oznaką słabości, że ten chłopiec, który tak wiele przeżył w ciągu minionych dwóch dni, zmienił się zupełnie po wypiciu pierwszych łyków z wielkiej czary męstwa.

20. REKORD!

Inżynier Deriabin stał przy urządzeniu sterującym. Zewnątrz był spokojny, ale tylko zewnątrz! Czuł, że właśnie teraz rozpoczynają się właściwe próby, od których zależy nie tylko los doskonałego urządzenia, skonstruowanego przez młodego inżyniera Pojarkowa, nie tylko los drogocennych przyrządów Aleksieja Fomicza, nie tylko los wynalazków jego samego, Deriabima, którym poświęcił całe życie, pracując nad telemechanicznym sposobem kierowania różnymi maszynami. Od pomyślnego wylądowania latającego dysku zależy życie człowieka, który przypadkowo znalazł się w jego kabinie.

Niepodobna być spokojnym przy takich próbach, ale — trzeba... Najmniejsza omyłka, źle naciśnięty guzik, przesunięcie dźwigienny w nieodpowiednią stronę — wszystko to może spowodować katastrofę.

Zabłyły kolorowe żaróweczki. Były to sygnały oznaczające, że przyrządy są gotowe do przyjęcia rozkazu.

Obracające się zwierciadło radaru wskazywało niemal zenit. Tam znajduje się stratosferyczne laboratorium. Jego sylwetkę widać na oświetlonym ekranie umieszczonym obok tablicy rozdzielczej urządzenia sterującego.

Czarne koło jak gdyby zawisło na perłowym niebie migocącego ekranu.

Deriabin nacisnął czerwony guzik. Nad nim zapaliła się czerwona żaróweczka jako sygnał, że tam, w górze, przyrządy — automaty przyjęły rozkaz z ziemi. Ciemny krąg na ekranie powoli przesunął się w dół. Na rozkaz człowieka znajdującego się na

ziemi ruchome dźwignie zmniejszyły objętość dysku, stłoczyły w nim gaz i latające laboratorium zaczęło opadać.

Radar nie wypuszczał latającego dysku z pola swojego widzenia; sylwetka dysku cały czas była widoczna na ekranie.

— Dwanaście tysięcy metrów — rzekł po chwili Deriabin spojrzawszy na siatkę ekranu, według której można było określić odległość od opadającego dysku.

Profesor Demidow i konstruktor stali w milczeniu koło urządzenia sterującego.

Przez cały czas opadania dysku nikt nie przemówił ani słowa. Twarz inżyniera pokryta była potem. Nie mógł oderwać rąk od guzików urządzenia, nawet aby wyjąć z kieszeni chusteczkę.

Na jaskrawo błękitnym niebie ukazał się srebrny punkcik. Był jeszcze wysoko i wcale nie nad głowami patrzących, jak ukazywało przedtem zwierciadło radaru. Teraz niewidzialny promień radaru zetknął się od wschodu z opadającym statkiem powietrznym.

Deriabin przekręcił powoli błyszczące koło sterowe i jednocześnie nacisnął jeszcze jeden guzik, włączający silnik odrzutowy.

Widać było, jak srebrny punkt stopniowo rośnie. Inżynier kierował latającym dyskiem włączając na przemian to jedną, to drugą dyszę silnika i starając się jak najszybciej sprowadzić laboratorium na ziemię.

Dysk opadał wyraźnie, lecąc zgodnie z wyznaczonym kursem.

Stosunkowo niewielki metalowy dysk, przypominający kształtem pudełko barometru, leżał, jak gdyby odpoczywając, na zielonej trawie i połyskiwał swoimi karbowanymi płaszczyznami.

Jeszcze nie zdołał stopnieć lód kolo dolnego wjazdu. Dziwna wydawała się ta szklana skorupka pod gorącymi promieniami słońca, tam gdzie trudno było ukryć się przed upałem.

Wreszcie otwarto pokrywę wjazdu. Opuszczono ją do wnętrza i profesor Demidów wraz z Borysem Zacharowiczem i lekarzem weszli do kabiny. Bagrecow chciał rzucić się za nimi, lecz Ania ostrożnie odciągnęła go na bok.

— To nic, to nic — uspokajał Wadim sam siebie, poruszając pobladłymi wargami. — Oni wiedzą... Zrobią wszystko... — Nie mógł oderwać wzroku od ciemnego wjazdu.

Z kabiny długo nikt nie wychodził.

Dim oparł się o chłodnicę samochodu, do krwi zagryzając wargi. Ania starała się zachować spokój. Nie mniej niż inni obawiała się o los człowieka, który powrócił z jonosfery. Rozumiała, że jego towarzysz również znajduje się teraz w ciężkim położeniu. Błady od utraty krwi, ledwie trzyma się na nogach i tylko całą siłą woli zmusza się do tego, by nie upaść.

Ania wyjęła watę oraz bandaże i otarła kropelkę krwi, która ukazała się na skaleczonym miejscu pod okiem Wadima.

Bystre oczy kędzierzawego chłopczyka zazdrośnie śledziły ruchy Ani.

Malec, schowany pod brezentem na platformie maszyny, podniósł się i spoglądał znad krawędzi na nieznaną dziewczynę, która tak bezceremonialnie zdjęła z takim trudem nałożone przez niego bandaże, zastąpiła je świeżymi i nie odchodzi teraz od „wujaszka, który spadł z nieba“. Przecież to on, Jurek, znalazł go. Chłopczyk był niezmiernie ciekawy, jak wygląda ten latający statek, z którego wujek wyskoczył bez spadochronu.



Dysk opadał wyraźnie, lecąc zgodnie z wyznaczonym kursem.

Dlatego też ten ciekawy malec wlaź pod brezent na platformę samochodu i razem z dorosłymi przyjechał na lotnisko.

Lecz nie tylko ciekawość, ale i uczucie przyjaźni skłoniły chłopczyka do ukrycia się pod brezentem. Był zachwycony zachwałą odwagą tego prostego, więcej nawet, bo zwyczajnego człowieka, który nie wstydził się płakać z bólu, gdy Jurek odrywał mu koszulę od rany. Płakał, a jednocześnie rzucił się przeciw w dół, na drzewa, byleby tylko uratować latający statek i towarzysza. To jest człowiek!

Jurek patrzył na Dima z otwartymi ustami. Pragnął uczynić coś dla przyjaciela. Coś najlepszego, na co tylko może się zdobyć. I ulegając temu wewnętrznemu impulsowi Jurek zeskoczył z platformy i podał Bagrecowowi coś, co miał najdroższego — zegarek. Otrzymał go w darze także za odwagę. Czyż jednak jego postępek może równać się z tym, co uczynił człowiek znaleziony w lesie?

Wadim spojrzał z wdzięcznością na swojego młodego przyjaciela, zakurzonego przydrożnym pyłem, na jasny pasek na jego ręce w miejscu zasłoniętym dotychczas przed słońcem przez pasek od zegarka, na całą jego wzruszającą dziecienną postać.

Wadim wziął zegarek i włożył go na dawne miejsce bielejące nieopalonym paskiem na wyciągniętej ku niemu ręce chłopca, po czym objąwszy Jurka, postawił go obok siebie.

We włązie kabiny ukazały się czyjeś nogi, być może — lekarza. Tak, to lekarz powoli wychodził stamtąd, widocznie coś podtrzymując.

W trójkę nieśli Babkina, starając się nie uderzyć go o krawędź wjazdu. Dim podbiegł do towarzysza i zobaczył siną twarz, zamknięte oczy i ręce wyciągnięte jak na baczość.

Nie panując nad sobą, w rozpaczę chwycił go za ramiona i zaczął potrząsać.

— Tim, Tim!... — powtarzał jak w gorączce.

Babkin otworzył oczy, ujrzał przyjaciela i chciał wyciągnąć do niego rękę, lecz ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

Technika ostrożnie położono na trawie. Od razu podbiegli sanitariusze z noszami. Umiejętnie ujęli chorego i chcieli go unieść, lecz Tim odezwał się cicho:

— Nie trzeba... Potem...

Odwrocił głowę, przycisnął policzek do gorącej ziemi i chciwie wdychał jej zapach. Czuł jej bliskość i ciepło, które ożywczym prądem przenikało całe jego ciało. Och, gdyby leżeć tak jak najdłużej i zapomnieć o tym, co było tam, na górze!... Ziema... Ziemia ojczysta!...

Po chwili otworzył oczy i ledwo dosłyszalnie wyszeptał:

— Wszystkie aparaty działały... W najwyżej ustawionym pękła rurka... Trzeba było naprawić. — Zamilkł i z widocznym trudem przypominając sobie coś, dorzucił: — Wszystkie obserwacje... tam, w zeszycie...

Zniknął już samochód sanitarny uwożący przypadkowych „stratonautów“, a Pojarkow długo jeszcze spoglądał za nim.

— Aleksjeju Fomiczu — zwrócił się do Demidowa — jestem zaniepokojony. Może działanie promieni kosmicznych nie przejawia się od razu.

— Nie mamy żadnych pewnych danych co do tego, lecz jak się okazuje, nie wywarły na niego zgubnego wpływu.

— Dlaczego? — zdziwił się konstruktor.

— Bo przewidział wcześniej środki ochrony.

— Jakie?

— Z wielkim trudem znaleźliśmy tego śmiałego i pomysłowego młodzieńca pod konstrukcją, na której zamontowaliśmy akumulatory. Rzędy ołowianych, poziomo ustawionych płyt

stworzyły dla niego niezawodną osłonę przed śmiertelnym działaniem promieni.

— Tak — dodał Demidow w zamyśleniu — był to pierwszy człowiek, który dotarł do jonosfery.

— Ustanowiono nowy rekord wysokości — cicho, jak gdyby do siebie rzekł Pojarkow spoglądając na ciemniejący horyzont.

— Nie można go jednak uznać — odpowiedział Demidow po krótkim milczeniu. — Musieliby asystować przy tym komisarze sportowi, a w kabinie powinny się znajdować zapieczętowane barografy. A poza tym był to przypadek i nikt nie przypuszczał, że w naszym dysku ludzie mogą zalecieć do jonosfery.

Profesor znowu zamilkł, rozłożył zeszyt — „pamiętnik” Dima, w którym technicy notowali swoje spostrzeżenia o działaniu aparatów, przejrzał go i dodał:

— Tak. Nie ustanowili rekordu wysokości. Lecz cóż można cenić wyżej niż wzniosłość ludzkiego męstwa i poczucie obowiązku, które przejawili nasi młodzi przyjaciele w czasie tego lotu? Myślę, że jest nam to droższe od wielu rekordów.

W ciągu kilku dni Dim i Tim prawie całkiem wrócili do zdrowia po odniesionych obrażeniach. Lekarze na czas zastosowali odpowiednie środki i pomyślnie wyleczyli Babkinowi odmrożone palce u nóg. Nie znaleźli objawów chorobowych związanych z działaniem promieni kosmicznych. Kto wie, czy nie dlatego, że Timofiej na czas schował się pod osłonę ołowianego ekranu.

Nasi przyjaciele pozostali w szkole lotniczej jako goście, by odpocząć w górach u gościnnych lotników. Naczelnik instytutu, w którym pracowali Bagrecow i Babkin, po otrzymaniu szczegółowej depechy od Deriabina, nakazał technikom, by bez pozwolenia lekarzy nie powracali do pracy. Prócz tego przestrzegł ich, że należy uważać przy wykonywaniu każdego zadania, a zwłasz-

cza jeżeli pracuje się w nowych i nieznanymi warunkach. Przypadkowa podróż techników w stratostacie mogła zakończyć się mniej szczęśliwie. Od siebie zaś naczelnik instytutu pogratulował Bagrecowowi i Babkinowi pomyślnego wykonania zadania, podziękował za okazaną odwagę i pomysłowość, wreszcie poradził, ażeby dobrze wypoczęli.

Notatki Bagrecowa, a szczególnie Timofiej a, stały się istotną pomocą w opracowaniu materiałów przekazanych przez radio z latającego laboratorium. Zjawisko rozpadu atomu zaobserwował Babkin w przyrządzie do chwytania promieni kosmicznych. Obserwacje jego pozwoliły na odtworzenie pełnego obrazu tego niespotykanego zjawiska...

Wszyscy nowi przyjaciele odprowadzali Dima i Tima, gdy młodemu „stratonautom“ pozwolono wreszcie powrócić do domu. Chłopcy byli bardzo zmieszani, ściskali ręce w niestosownych momentach, zapisywali adresy i co chwila spoglądali na zegarki, starając się jak najszybciej zakończyć tę ceremonię. Nigdy nie przypuszczali, że ich skromne osoby staną się przedmiotem tak nieoczekiwanego zainteresowania.

— Towarzyszu Babkin — Ania zwróciła się nagle do niego oficjalnym tonem — cieszymy się, że i w tym wypadku jest wszystko w porządku. Weźcie proszę — podała mu zawiniątko.

Obserwowany przez zdziwionych odprowadzających Timofiej rozwinął papier. Leżała w nim para cytrynowożółtych, spiczastych buczków. Babkin nie mógł ich nie poznać. Spojrzał na nie ze smutkiem, potem przeniósł spojrzenie na swoje nie rzucające się w oczy, wygodne, miękkie pantofle. Są bardzo przyzwoite, ze sznurowadłami, a co najważniejsze, nie uciskają.

— Dziękuję... Bardzo dziękuję! — mruknął i chciał wsunąć nieszczęsne buczki do plecaka z rzeczami.

— Bardzo się cieszę — rzekła Ania z żalem. Niechętnie żegnała się ze swoimi nowymi przyjaciółmi, których może nigdy więcej nie zobaczy. — Bardzo się cieszę — powtórzyła i odwróciła się.

— No, wkładaj prędeż — rzekł Bagrecow, z zadowoleniem obserwując nowe „radosne zdarzenie” w życiu Timofieja Babkina. — No, na co czekasz? Przecież to rzeczywiście nie wypada. W krawacie i miękkich pantoflach.

— Włożę na dworcu — protestował Tim.

— Tam nie będzie czasu — przynaglał go Wadim. — Szybciej!

Babkin zdecydowanym krokiem odszedł na bok, usiadł na trawie i zagryzając wargi zaczął naciągać przekłete buciki.

Na dworzec było niedaleko. Nasi „stratonauci” szli pustynną białą drogą. Siwy pył wirował w powietrzu i wydawało się, że przed nimi wszystko tonie we mgle.

— Tim, słuchaj — zwrócił się do niego Bagrecow. — Wiesz, o czym myślę? Zdaje mi się, że Alekszej Fomicz będzie wkrótce otrzymywał złoto... prosto z nieba.

Babkin machnął ręką i nic nie odpowiedział. Dawno już trzeba było przyzwyczać się do fantazjowania Dimki.

— Wyobraź sobie — ciągnął Wadim, szeroko wymachując rękami i nie widząc sceptycznego ruchu towarzysza — że do dużej rakiety z jakimś reflektorem skupiającym promienie kosmiczne nalewają rtęć. Rakieta leci w górę, na wysokość, powiedzmy, tysiąca kilometrów. Tam, pod działaniem tych promieni, rtęć zmienia się w złoto i razem z rakieta opada na ziemię. Co ty na to?

Bagrecow spojrzał zwycięsko na Timofieja.

Ten nie odpowiadał. Krzywiąc się z bólu, z trudem kuśtykał w swoich modnych bucikach. Bardzo mu potrzebne to niebiań-

skie złoto!... Wreszcie Babkin nie wytrzymał, przykucnął, ściągnął z nóg przekłete buciki i wyrzucił je daleko w krzaki.

Wadim powiódł oczami za bucikami, które na moment pozostawiły w powietrzu błyszczący ślad.

— To wszystko? — zapytał drwiąco.

— Wszystko — odpowiedział z ulgą Babkin, wyciągając z plecaka swoje miękkie pantofle. Teraz już może pomyśleć nawet o marzeniach Dimki.

Przyjaciele szli drogą. Co czeka ich w przyszłości?... Jakie nowe przygody? Jakie nowe bohaterskie czyny?

SPIS TREŚCI

1. Autor krótko przedstawia swoich bohaterów i od razu zaczyna się ich przygody
2. Nieoczekiwane odkrycie Timofieja Babkina.....
3. Laboratorium bez ludzi.....
4. „Bezużyteczny ciężar"
6. Sto siedemdziesiąt tysięcy amperów.....
6. „Spotkałem błyskawicę"
7. Na południe od przylądka Fors.....
8. „Dokąd lecimy?"
9. Statek zmienia kurs.....
10. Próba męstwa.....
11. Człowiek nad ziemią.....
12. A w tym czasie na ziemi.....
13. Ciągle w górę!.....
14. W dół po górskim zboczu.....
15. „Tam zimno i niebo jest czarne"
16. Decydujące chwile
17. Przyjaciół z odległych lat.....
18. Żar i mróz.....
19. Próby trwają nadal
20. Rekord!.....